

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



Warszawa,
Solec 87.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

telefon 2-44-18.

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

Warszawa,
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Prawo do dziecka — *H. Wiewiórska*. Romans podchorążego — *Natalja Jastrzębska*. Poezje: „Pisane podczas sloty” — *Lucyna Krzemieniecka*. Najwyklesza historia — *S. Szurlejówna*. Kobieta polska — *Z. Zaleska*. Sto lat sztuki belgijskiej — *St. Podhorska-Okolów*. W Palestynie — *L. Ch.* Doroczne posiedzenie Akademii Literatury — *S. P. O.* Wychowanie i szkoła: Koedukacja czy rozdzielność — *Natalja Jastrzębska*. Nauczyciel jest niesprawiedliwy — *Hanna Koryzna*. Nocne tropy — *Marja Ankiwiczowa*. Nasz lekarz: O surowicach i szczepionkach — *Dr. J. E.* Co wpływa ujemnie na urodę w okresie dojrzewania? — *Dr. Med. Zofja Rostkowska*. Z teatrów — *S. P. O.* Wspomnienia pośmiertne, Kobieta w świecie i w domu, Propaganda Inu na prowincji, — *Zofja Tyrkówna*. Ogrodnictwo i hodowla: Kaczki rozplodowe, Hortensja, Drobiazgi ogrodnicze — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Zepsuty obiad — *Wanda Ivanka - Prażmowska*. Święta — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

	zł.	
Okładka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—
	$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
	$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
	$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
	$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
	$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

	zł.	
Okładka IV-ta	$\frac{1}{1}$ str. okł.—	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bluszcz

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Prawo do dziecka

Hasło powrotu kobiety do ogniska domowego, aczkolwiek przygłuchło nieco w prasie, coraz mocniej, natarczywiej i namiętniej rozbrzmiewa wszędzie: w dyskusjach publicznych, w rozmowach towarzyskich, w poufnych zwierzeniach.

Wraz ze zmianą stanowiska prawnego kobiety i przyznaniem jej praw, musiała ulec zmianie i motywacja wyłącznej roli kobiety, jako kapłanki ogniska domowego. Nie mówi się teraz, że kobieta, jako istota niższa umysłowo i fizycznie, niezdolna jest do wykonywania pewnych czynności, bo wobec doświadczenia lat ostatnich byłoby to zbyt rażącym momentem. Zato przytacza się argumenty społeczne i biologiczne, twierdząc, że mężczyzna musi mieć pierwszeństwo w prawie do pracy jako odpowiedzialny za rodzinę, a kobieta z samego swego ustroju winna dbać o dom i dzieci, dla domu i dzieci powinna poświęcić wszelkie aspiracje i skierować na rozwinięcie i ukształtowanie duszy dziecka i zorganizowanie życia rodzinnego.

W tej szczytnej argumentacji, występującej przeciwko pracy kobiet, zapomina się zarówno o pracy kobiet - włościanek, jak i pracy robotnic; mając na myśli powrót kobiety do ogniska domowego, myśli się jedynie i wyłącznie o kobiecie ze sfer burżuazyjnych, lub kobiecie inteligentce.

Jednakże, ukrywając pod szatą komplementów i wzniosłych haseł chęć pozbycia się konkurenta na rynku pracy, zapomina się o tem, że przyznając na papierze kobiecie władztwo na jej terenie, to znaczy w domu, można być w konflikcie z istniejącym ustawodawstwem.

Kodeks cywilny, obowiązujący u nas, żywcem lub z niewielkimi zmianami wzięty z kodeksu Napoleona, oparty jest nie na szczytnym zadaniu kobiety, a na jej rzekomym upośledzeniu umysłowym: „imbecilitas sexus“, na jej niezdolności do działań praktycznych, na jej słabości duchowej. Mimo wielkich zmian, dokonanych w naszym ustawodawstwie 13 lat temu, pokutują przepisy o żonie, która nie

może rozporządzać swym majątkiem bez zezwolenia męża, o ruchomościach, które należą wyłącznie do męża, o ile niema innego dowodu, o mężu jako zarządcy i użytkowniku majątku żony itd. Jest to sytuacja groteskowa wobec nowych uprawnień kobiety, która uznana jest za zdolną do pracy państwowej i samorządowej, a niezdolną do prowadzenia osobistych interesów.

Jeszcze bardziej przestarzałe są przepisy prawa rodzinnego, oparte na prawie rzymskim, a więc na nieograniczonej władzy ojca rodziny nad żoną i nad dziećmi. Po wykreśleniu, lub zmodyfikowaniu w roku 1921 najbardziej rażących artykułów, pozostały jednak przepisy prawa, które są w oczywistej sprzeczności z hasłami i frazesami o posłannictwie kobiety, o jej naturalnej roli, o władzy jej w zakresie domowego ogniska.

A więc: w ciągu pożycia małżeńskiego oboje rodzice sprawują władzę rodzicielską; w razie jednak różności zdań, zdanie i wola ojca przeważa. (art. 337 Kod. Cyw. Kr. Polskiego). W czasie trwania małżeństwa ojciec jest zarządcą majątku osobistego swych dzieci małoletnich (art. 341 K. C. K. P.). Ojciec ma prawo użytkowania majątku dzieci swoich (art. 342 K. C. K. P.). W kodeksie francuskim dotychczas istnieją artykuły, które powiadają, że żona winna jest posłuszeństwo mężowi i nawet, prowadząc handel oddzielny, nie może stawać przed sądem, nie może zawierać aktów hipotecznych i t. d., niezależnie od systemu majątkowego (t. zn. nawet wówczas, kiedy ma samodzielny majątek, zastrzeżony w intercyzie).

Zarówno więc interes żony, jak i interes dziecka podporządkowany jest interesowi ojca rodziny, który rzekomo ma najlepiej reprezentować całość jej interesów i jej potrzeb. Jedynie, gdy ojciec jest ograniczony w prawach, lub nieobecny, matka ma przyznane prawo opieki nad dziećmi.

Jak dalece rozciąga się opieka nad dziećmi obojga rodziców i kiedy może być im odjęta?

Otóż rodzice mają prawo karcić dzieci w spo-

sób „zdrowiu ich i postępowi w naukach nieszkodliwy“. Dopiero, gdy zdrowiu dziecka „karcenie“ szkodzi, powinni być przez Sąd napomnieni, a tylko za powtórne wykroczenie i w razie grożącego niebezpieczeństwa dla dziecka może być władza rodzicielska rodzicom odjęta.

A więc jedynie fizyczna szkoda, jedynie okaleczenie dziecka i to grożące niebezpieczeństwo dla życia dziecka może wywołać po pierwszym wyroku odjęcie władzy rodzicielskiej. Krzywda moralna, pastwienie się nad dzieckiem, prześladowanie go, wykoszlawienie jego charakteru, a nawet zwyczajne okaleczenie nie istnieją w ustawie jako przyczyny odjęcia władzy rodzicielskiej. Wyobraźmy więc sobie sytuację, bardzo częstą, gdy ojciec, naturalny opiekun i samowładca, wbrew woli matki krzywdzi dziecko i że małżeństwo nie jest formalnie rozwiązane, matka wówczas nie może dziecka odebrać, gdyż ojciec jest tym opiekunem, jego zdanie przeważa, a życia dziecka znęcania się ojca nie grożą. Czyż można sobie wyobrazić bardziej niehumanitarne i paradoksalne stanowisko ustawy w naszych czasach, gdy mówimy o ochronie dzieciństwa i macierzyństwa, gdy interes społeczny stawiamy ponad interes osobisty i rodzinny, gdy interes dziecka uważamy za ważniejszy, niż konieczność ograniczenia władzy ojca-okrutnika.

Tak się dzieje wówczas, gdy małżeństwo istnieje.

Zobaczmy obecnie, jaka jest sytuacja prawna i kto ma prawo do dziecka po ustaniu małżeństwa, po jego rozwiązaniu przez śmierć jednego z rodziców, lub przez unieważnienie, separację, lub rozwód.

W razie śmierci matki, ojciec pozostaje nadal opiekunem, nawet wówczas gdy się ożeni powtórnie, nie ma żadnych przeszkód w wykonywaniu swych obowiązków i praw ojcowskich. Inaczej jest z matką. Gdy ojciec umrze, nie kończy się jego władza nad żoną i dzieckiem. Opiekuńcza ręka wyciąga się i z poza grobu; ma on prawo mianować swej żonie doradcę dla czynności opiekuńczych, a więc wdowa może być zmuszona do słuchania rad osób jej obcych, być może wrogich, być może niechętnych nawet dziecku, a przede wszystkim przemocą narzuconych.

Jeżeli zaś matka wyjdzie zamaż, może być usunięta od opieki, o ile przed zamażpójściem rada rodzinna przy opiece jej nie pozostawi, a nowy jej mąż musi być współodpowiedzialnym opiekunem. Jest rzeczą zrozumiałą, że mąż pociąga się do odpowiedzialności z opieki, ponieważ nie wierzy mu się jako człowiekowi obcemu, lecz dlatego że w takim razie macocha nie jest obciążona temi samymi obowiązkami? dlaczego wdowiec obdarzony jest większym zaufaniem niż wdowa, choć w życiu mniej krzywdy wyrządził dzieciom ojczym, niż macocha, choćby dlatego, że jest matką innych dzieci i że w domu więcej przebywa.

Gdy oboje małżonkowie żyją, a małżeństwo zostało rozwiązane, opieka nad dzieckiem zależna jest od tego, kto z rodziców jest stroną tak zwaną winną lub jest „złej wiary“. Jeżeli oboje małżonkowie są niewinni, to ojciec jest z samego prawa opiekunem, jeżeli zaś jedna ze stron jest winna, opieka przysłu-

guje stronie niewinnej, gdy są oboje winnymi, rada rodzinna decyduje komu dzieci powierzyć.

Takie postawienie sprawy jest oczywistym nonsensem, jest absolutnem nieeliczeniem się z rzeczywistością i interesem dziecka. Jeżeli nawet wina może mieć jakiegokolwiek bądź znaczenie dla dobra dziecka, a opieka nad dziećmi może być uważana za nagrodę za cnotę, to i w tym wypadku, gdy oboje rodzice są niewinni lub są w dobrej wierze, powinna należeć właśnie do matki, jako do tej par excellence kapłanki domowego ogniska, jako związanej z dzieckiem tysiącem więzów. Złe matki, czy to winne, czy niewinne, opuszczające dzierżawę i rzucające je na pastwę losu, są zjawiskiem wyjątkowym. Niemal codziennym zjawiskiem są źli ojcowie.

Dlaczego też t. zw. wina, która się wyraża przeważnie w zdradzie małżeńskiej, czy też w kłótniach, miałyby mieć decydujące znaczenie w kwestji opieki nad dzieckiem, dlaczego zapomina się zupełnie o tem, co dla dziecka jest lepsze, a mówi się tylko o tem, co wynika być może z przejściowej namiętności, lub niedopasowania charakterów. Rozważania takie widocznie nie mają nic rewolucyjnego, skoro już w roku 1900 Senat rosyjski orzekł, że w braku wspólnego pożycia małżonków sąd może zostawić dziecko przy matce, jeżeli tego wymaga korzyść dziecka. W tym też duchu zostało zreformowane od r. 1886 ustawodawstwo francuskie. Sąd ma prawo na żądanie rodziny, lub nawet urzędu publicznego powierzyć dziecko jednemu z małżonków, lub nawet osobie trzeciej, w zależności od okoliczności sprawy (art. 302). Decyzja sądu może być zmieniana w każdej chwili, w zależności od tego, co jest dla dziecka bardziej odpowiednie.

Polski projekt prawa małżeńskiego, ustalając całkowite równouprawnienie małżonków co do praw i obowiązków i co do wykonywania władzy rodzicielskiej, powierza dziecko jednemu z rodziców, z pierwszeństwem niewinnego, albo nawet osobie trzeciej, gdy tego stanowczo wymaga interes dziecka (art. 72). I tu również, jak i w ustawie francuskiej zarządzenia sądu mogą być zmieniane „według okoliczności“ (art. 75).

Zaznaczam, że decyduje tu ten sam sąd, który orzeka rozłączenie lub rozwód małżonków, a więc sąd, który zna doskonale sprawę i który może sądzić na podstawie zebranego materiału o tem, czy ja opieka będzie dla dziecka korzystniejsza.

W obecnym stanie rzeczy gdy separacje i unieważnienia, a nawet i rozwody orzekają sądy duchowne, konsystorskie, rządzące się specjalną procedurą, która nie zabezpiecza, moim zdaniem, całkowitego wykrycia prawdy, stwarza się paradoksalna sytuacja. Jeden sąd orzeka o winie, lub niewinności, przyczem sprawa trwa długo, a dziecko wciąż jest w zawieszaniu, drugi zaś sąd, nie znając dokładnie przyczyn uznania danej osoby za winną, nie badając świadków, nie interesując się, kto będzie lepszym dla dziecka, wydaje orzeczenie co do władzy rodzicielskiej, nie zapewniając nawet (co czyni nowy projekt polski) możliwości widzenia się i dozoru dla pokrzywdzonego małżonka. Jakże stąd

wynikają tragedje, jak gorszące sceny, trudno opisać.

Wiem np. o wypadku następującym. Rodzice rozeszli się 9 lat temu, gdy dziewczynka miała trzy lata. Ojciec, nawet podczas trwania małżeństwa był bardzo nieczułym i niedobrym ojcem, potrafił bić dziecko i obchodzić się z niem brutalnie. Po 9 latach, po przeprowadzeniu dwóch spraw, uzyskał wyrok, zasądający mu opiekę nad dzieckiem tylko dlatego, że łaknął tej opieki, bo dziecko miało pieniądze, a żona, nie broniąc się w konsystorzu, gdyż obojętną była dla niej kwestja winy, a nie wiedziała jakie to ponosi skutki, była uznana za winną. Widziałam odpisy protokółów konsystorskich, byłam zdumiona, jak opacznie były interpretowane zeznania świadków i na jakich kruchych podstawach wina została ustalona.

Dla sądów cywilnych obowiązujące ma znaczenie orzeczenie sądu duchownego, a ponieważ ojciec, rzekomo, był niewinny, więc opieka przysługiwała by mu nawet, gdyby matka była niewinna, a cóż dopiero gdy matka została uznana za winną. Dziewczynkę przysądzono ojcu, który uzyskał wyrok i przysłał komornika. Oczywiście matka dziecko schowała. Zaczęły się groźby, poszukiwania, nowa wizyta komornika i rozpacz małej, bezgranicznie przywiązanej do matki, a nienawidzącej ojca, który się nigdy nią nie interesował. Przychodzą po dziewczynkę 12-letnią, po człowieka żywego, jak po martwy sprzęt, wydzierają sobie ją z rąk, na-

stępują sceny brutalne i gorszące. Wreszcie ojciec porywa dziecko w nocy, nabawiając je choroby nerwowej. Zrozpaczona matka, po długich poszukiwaniach odnajduje dziewczynkę, lecz nie wolno jej dziecka widywać pod groźą katuszy dla dziecka. A więc: nadszarpnięte zdrowie dziecka, które, jak samo twierdzi, straciło wiarę w ludzi i chęć do życia, krzywda moralna, i materialna dziewczynki, rozbite życie matki, bałwochwalczo kochającej dziewczynkę, dwa wyroki sądowe, orzeczone przez ludzi wykształconych, z których żaden, opierając się na literze prawa, nie zainteresował się, gdzie będzie dziecku lepiej, u niewinnego ojca, czy u rzekomo winnej matki.

W tym stanie rzeczy piękne słowa kodeksu, które mówią o opiece nad dzieckiem, są pustym dźwiękiem.

My, kobiety powinnyśmy dążyć do tego, aby prawo do dziecka miała przede wszystkim matka, a dopiero wówczas, gdy matka zostanie uznana za niezdolną do sprawowania opieki, dzieci mogłyby być powierzone ojcu, lub nawet innej osobie. Prawo do dziecka jest jednocześnie obowiązkiem wobec dziecka. Statystyka wykazała, kto spełnia swe obowiązki w stosunku do dzieci: na tysiąc wypadków opuszczenia rodziny przez ojców wyliczono zaledwie 1 — 2 wypadki porzucenia rodziny przez matkę.

Cyfry obowiązują.

H. Wiemiórska.

Romans podchorążego

2)

— Oto księżycowy wieczór mego marzenia — szepnął Seweryn.

Czuł w głowie zamęt, w piersiach żal, w ustach gorycz.

Miał przecież dwadzieścia trzy lata i był jednak romantykiem.

* * *

Marzenia umierają czasem od rzeczywistości, czasem przemieniają się tylko.

Marzenie Seweryna nie chciało umrzeć, przeciwnie, zmieniając się, spotężniało. Gwiazda świetlista i daleka, słodka myśl poranków i tęsknota wieczorów urosła w hydrę bliską, palącą, oplatała piersi, piła z serca krew.

Co innego było czcić jakąś nieznaną, piękną ofiarę, co innego widzieć te żywe oczy. Ale ja kochałem tamtą.

To ci się zdawało.

A teraz co?

Bo jej świat nie był jednak całą Polską, świat jej pałaców nie był nawet całą Warszawą.

Gdzieś kryły się tajemnicze gminy, któremi rządili nikomu nieznanym naczelnicy, gdzieś szepitano przysięgi Templarjuszy, odprawiano kapituły, gdzieś ostrzono myśli i bagnety.

Na wszystko, z dwóch przeciwległych krańców polskiego horyzontu padały dwa cienie: okutego, torturowanego w zamojskiej twierdzy męczennika i wyniosłego, wiecznie milczącego generała.

Milczeli zresztą obaj, ale naród zdawał się słyszeć od jednego: zemsta, od drugiego: walka.

Słuchał więc i gotował się. W powietrzu czuć było burzę, zdawało się, że wystarczy chwila cichego skupienia, aby dosłyszeć jej daleki, podziemny grzmot.

Ach, gdyby nawet istniała kiedyś ofiara panny Grudzińskiej, gdzież teraz było dla niej miejsce!

* * *

Podchorążowie rozbili, jak co roku, obóz letni pod Warszawą.

Sewerynowi zdawało się z początku, że wszedł do raj. Wypoczynek, oddalenie od sąsiedztwa belwederskiego pałacu, niepamięć.

Jakże rozkosznie było w rosiste, pachnące oddechem pół poranki wskakiwać do głębokiego stawu, odgarniać jego wody, zwyciężać skurcz chłodu, rozgrzewać się ruchem i mocą własnego ciała, w którym młoda krew biła siłą i warem. Skoczyć potem na grzbiet mokrego konia i zrosnięty z nim, jak centaur, pędzić, susząc się na słońcu, pijąc wiew ranka, wzmożony wartkim galopem.

Jak dobrze było ćwiczyć w południe, rozprężyć mięśnie, namaszczone gorącym, jak oliwą, odbijać elastyczne stopy od pulchnej ziemi, zwijać się, przysiadając, wyrzucać w górę lekkie, wyprężone ciało, godzić w pierś wymyślonego wroga, deptać po nim, i biec, biec bez tchu do meży zwycięstwa.

Później, w leniwy odwieczny można było leżeć z fajką, słuchając dalekich głosów fujarki i przyznanego pogwaru obozowiska, leżeć, nie myśląc o niczem, o żadnych bliskich, groźnych terminach, o żadnych złotych rżesach, spod których patrzyły fjołkowe oczy.

Przychodziły potem noce, oszalałe mirjadami gwiazd, nie tylko wpatrzeć się w otchłań niebieską i lécieć w nią aż do braku tchu, do zatrąty świadomości.

Nie istnieć.

Jednakże wielki książę nie zapomniał i w lécie o swojej szkole. Przyjechał ją odwiedzić. Niespodzianie zresztą i prawie nieoficjalnie.

— Ja do was, chłopcy z wizytą, pogulać przybył, radzicie mi? — Uśmiechnął się, głową kręcił przymilnie, klepał ich po ramionach i szczypał w policzki.

W letnim kitlu mundurowym, ogorzały, spocony, rubaszny i dworski naprzemian, cały taki, jak był, tygrys na podszewce laszącym się kota. Księżna Łowicka towarzyszyła mężowi. Wjechali do obozu konno, środkiem szpaleru, w który ustawili się podchorążowie.

Seweryn wiedział, że musi patrzeć wprost, że nie wolno mu przenieść wzroku dalej ani wyżej, że nie może drgnąć powieka ani muskuł w twarzy.

Stoję przed obrazem, myślał wciąż, uporeczywie, z silnem aż do bólu skupieniem. Nawet nie dłużyła się ta chwila.

Księżna jechała od jego strony, przez sekundę w przestrzeni, dostępnej do wyciągnięcia ramienia przesunęła się jej sukienka, czubki lakierowanych bucików, zwróciła głowę ku Sewerynowi.

Jakaż była inna, jak wtedy, w Warszawie! Twarzyczkę miała zamysloną, oczy utkwione daleko, w słoneczną przestrzeń pól, pól rozchylone usteczka zdawały się pytać o coś, czy oczekiwać.

Przejechali.

Czy to słońce zapaliło pożar, czy ziemia kręci się w zawrotnym tańcu? Nie, słońce zniżało nad horyzontem łagodny, czerwony blask, ziemia oddychała zapachem wieczoru, to w mózgu Seweryna, w jego sercu był wir i pożoga.

Uroczystość przeciągnęła się długo. Po przeglądzie, Konstancy urządzać kazał przyjęcie.

— Dajcie, co macie jeść, bom głodny, a nie, to was pozjadam! Widzicie i księżna głodna, — wołał do pułkownika Olędzkiego.

Zagotowało się jak w ulu, zastawiono stoły pod namiotami, i na murawie, poznoszono proste nakrycia, na łeb na szyję szykowano żadaną przez wielkiego księcia „żołnierską kolację“.

Po chwili okazało się, że z Belwederu przyjechał wóz, naładowany prowiantem, wędliny, pasztety, wina i ciasta złożyły się na tę żołnierską kolację.

Księstwo zasiedli z pułkownikiem Olędzkim, służyli im podchorążowie. Konstancy sam skinał na Seweryna, gadał z nim, wypytywał o dom, matkę, rodzinę, wreszcie odesłał go do księżnej.

— A ty służ mojej żonie, ona wasza matka, pokłoń się jej, to jak stopień dostaniesz, ładną pannę ci wyswata!

Wszystko to znał, słyszał sto razy z opowiadań, wiedział, że trzeba przejść i na chwilę zwątpił, czy wytrwa.

Zastrzelę się potem, zaraz jak odjadą, to nie będzie długo, wytrzymam.

Spłynęła ulga, stanął spokojny, wyprostowany.

Joanna siedziała na polowym krzeselku, cicha uśmiechnięta, patrzył z tyłu na jej głowę, na ciężkie, cudowne warkocze.

Jak polska pszenica, jak życiodajny kłos.

Zwabione światłem, polatywały ćmy. Jedna szara i duża zakołowała nad jej głową, dotknęła na sekundę włosów i wpadła w płomień stojącego na stole świecznika.

— A ot tobie i masz! — krzyknął Konstancy, strzepując owad ze stołu — gulała, aż koniec jej przyszedł!

Czy i ja? — przeleciała myśl?

Księżna podniosła oczy, patrzyły na Seweryna blisko, promienne i łaskawe.

— Dobrze panom tu — wymówiły książęce usta, niewiadomo, twierdzenie, czy zapytanie.

Seweryn skłonił się.

— He, he, he i podalej odemnie! — zarechotał Konstancy — ale to nic, ja i tu widzę!

— Wszędzie żyjemy w każdej chwili z myślą o służbie waszej książęcej mości, — odparł Olędzki.

— Miło patrzeć na młodzież, sposobiącą się do służby ojczyźnie — rzekła Joanna.

Słowa te dźwięknęły, jak uderzenie sztyletu o szkło, subtelne, ostre, hartowne.

Ach tak? Królewska mowa! Aż tyle ambicji!

W tej chwili buchnął słup błękitnych, czerwonych i złotych światel, zawirowały na ciemnym tle nieba migotliwe gwiazdy, i długie węże zielone, wystrzeliły koła płomienne.

Dwaj podchorążowie, ogniomistrze popisywali się niespodzianką fajerwerków.

— A ot mnie i dogodzili, dzielne zuchy! — krzyknął Konstancy.

Uściskał pułkownika Olędzkiego i stanął obok krzesła żony.

Race szalały, rozpryskując miliony skier, rozlewając fontanny światel.

Wielki książę schylił się, dotknął ustami włosów Joanny.

— Voyez Vous, chérie, ils Vous fêtent comme une reine! — popłynął zduszony szept.

* * *

Comme une reine.

Była głęboka noc, w obozie spali wszyscy, utrudzeni przebytem przyjęciem, Seweryn wyszedł na drogę, którą odjechali księstwo.

Comme une reine...

Kto wie, czy tak nie będzie? Tchórzostwo przyjmie wszystko, jeżeli tak się będzie podobało tyranji. A wtedy, byłaby to swoja, polska królowa? Czy nie to samo było dziś?

„Miło patrzeć na młodzież“...

Ano tak, królewska mowa!

Z jakiegoś zakątka mózgu wypłynął przeczytany niedawno wiersz, z „Orientales“ Wiktora Hugo, wiersz o pięknym, wschodnim rycerzu:

„qu'il ait sa belle esclave aux sourcils arqués“.

Ona miała waziotkie, przepyszne łuki brwi, tylko on nie miał postaci wschodniego Appolina.

Miał jednak „sa belle esclave“.

Może włożyć na jej warkocze koronę.

Czemże jest kobieta?

Tak, tylko niewolnicą mężczyzny, od niego zależy jej życie, jej serce i mądrość, jej ród i narodowość nawet.

Panna Grudzińska była kiedyś polką, gdyby była wyszła za turka, byłaby dziś w haremie, teraz jest członkiem rodziny rosyjskich carów. Może zresztą zostać królową i tatarskie branki zostawały żonami sułtanów.

Branka Mogoła.

A gdyby kto inny, byłaby szlachcianką w polskim dworze.

Kobieta.

W głębokiej, ciemnej przestrzeni zarysował się obraz marzenia. Pachną lipy wokół dworu, wysypało podjazd świerkowymi gałązkami, na ganku czeka matka, Zochulka, Andrzej i tłum służby i domowników.

Pędzą złote kasztany, wiozą powóz ślubny, okrążają trawnik, depczą rozeslaną zieleń.

Otworzyły się szeroko drzwi dworu, w świątecznie przybranych pokojach kwiatów pełno i światel.

Do domu przywiózł żonę swoją, umiłowaną i wybraną sercem. Przyjaciela, kochankę i głowy koronę, światło oczu i podporę serca... Tę, która będzie matką jego dzieci. I dzieci Polski.

Więc ta sama kobieta może być albo tem wszystkim, albo?

Tak, zależnie od tego, kogo spotka na swej drodze i kto ją weźmie.

Pod stopami zabelalo coś, schylił się i podniósł: Przy nikłym blasku gwiazd rozpoznał więcej do tknięciem, niż wzrokiem: rękawiczka.

Przesunęły się w rękę malutkie paluszki z miękkiej skórki, drobne guziczki, rozwiła się smuga zapachu, ni to jaśminu, ni to fjołków.

Co za niesłychany dar losu! Co tobie do mnie niewiasto? Rzucić ten zewłoczek w pył drogi i odejść? Czy schować na sercu relikwję, najdroższą pamiątkę? Rzucić, rzucić.

Niema nic, nie znam nikogo, był dziś w obozie wielki książę z żoną, mówił do niej: comme une reine.

Ja chcę mieć wolność i żonę swoją.

Żonę? Nie, tylko wolność. Sny umierają, wolność

żyć będzie. Zochulka i Andrzej będą mieli dzieci dla Polski.

Rękawiczkę znajdzie ktoś, zadziwi się.

„Dobrze panom tu“...

Och, dobrze. Jak dobrze byłoby ostrze bagnetu głęboko, przez serce, sztychem. Nie wolno dogadzać sobie śmiercią. Usiadł na kamieniu przydrożnym, zmordowany, jakby przeszedł kilkanaście mil. Od-począć!

Rozgrzana w dłoniach rękawiczka pachniała co-raz silniej, ludziła miękkością i ciepłem żywej ręki.

Polką jestem przecież, twoją siostrą w niedoli, nie znajdziesz dla mnie litości?

Kobietą jestem, może złudziło mnie serce, może uwiodła nadzieja, może zniewolił los.

Nie sądź mnie.

Rozsnuły się wokoło lekkie mgły, niebo pobladło, na skraju horyzontu zarumieniło się pasemko świtu, daleko zadźwięczała trąbka.

Seweryn wstał, utulił na piersi rękawiczkę i za-wrócił w stronę obozu.

(d. c. n.)

Natalja Jastrzębska.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

Pisane podczas słoty

*Próżno ci lamentować jesieni
u okien czyichś.*

*Darano już przecież wicher
zdarł ci gnieronie korale z szyi.
I suknie twoje szkarlatne pomiał
i listy twoje złote
niedbale cisnął na wodę...*

Próżno ci płakać, lamentować, czas odejść.

*Nie ciebie pragnie dziś człowiek
na swoich polach.*

*Patrzy, czy Ona nie idzie
zima promienista. W sobolach,
w kwiatach dziwnych, w ametystach.
O niej marzy już tylko,
o niej białej i młodej.*

Podaj mi rękę jesieni, czas odejść!



Jesień nad rzeką.

(Fot. Poddębski).

Najzwyklejsza historia

....Rzucam się w to małżeństwo, jak w wodę. Głową wdół, z zamkniętymi oczami. Robię to tylko dlatego, że nie mogę znieść tej myśli, iż inna kobieta może go mieć dla siebie. Wywołuję obraz jego drobnych uroków i wdzięków: górna część jego policzka, łagodnie zaokrąglona ponad chropowatym cieniem golonego zarostu, jest delikatna, puszysta i świeża. Tak samo młoda jest gładka, opalona szyja, wychylająca się z mocno niebieskiego kołnierzyka. Na prawej powiece ma małą bliznę, gdy miał pięć lat, spadł z roweru i potłukł się. Uśmiecha się i profil jego odmienia się. Nos zmarszczony staje się trochę krótszy, oczy, zamiast mrużyć się, otwierają się szeroko i świecą rozelśnioną powierzchnią, krótkie, białe zęby wyblaskują spośród pękniętej szpary twardych i wypukłych ust, jak niedojrzały kasztan ze swojej powłoki. Jest wtedy chłopięcy, nieomal dziecinny i to tworzy nieoczekiwany, najbardziej uroczy kontrast z jego zwykłą ponurością. Ma ręce mocne i ciepłe. Czasem występują na nich grube, wypukłe, niebieskawe węzły żył. Wtedy te ręce stają się najbliższe, jakby cierpiące, dojrzałe, dorosłe.

To są te drobiazgi, o których nie mogę myśleć bez wzruszenia. I nie mogę znieść, zrozum, nie mogę znieść tej myśli, że tem samym cieszyć się będzie inna kobieta. To może jest zamało jako powód do małżeństwa, ale samo w sobie to jest bardzo dużo. Wyobrażam sobie tę inną, nieistniejącą narazie kobietę, na którą on patrzy tak, jak na mnie, którą całuje tak, tjak mnie i cierpię. Cierpię fizycznie. Czuję dławiacą, mdlącą kulę, która wzbiera, pęcznieje w żołądku, rzuca się jak szalona na serce i pędzi w górę, do gardła. Cierpię nawet teraz, gdy to mówię... — tak pisała Agnieszka.

Prawdą było tylko to, że Agnieszka była zakochana. Reszta to fantazja i kłamstwo. Bo nie było wcale mowy o żadnym małżeństwie. I Agnieszka do nikogo nie pisała. A nawet nie nazywała się Agnieszka, tylko Anna.

Ale Anna żyła zawsze podwójnie. Komponowała sobie życie. A życie niezawsze układało się zgodnie z kompozycją.

I teraz także.

Anna szła na spotkanie. Dzień był piękny. Wiatr się rozhuścił w powietrzu i nie mógł znaleźć nigdzie spokoju i odpoczynku. Białe

chmury na niebie uciekały przed nim w poplochu, gubiąc po drodze drobne, przejrzyste strzępy, złote chmury liści na ziemi, nad ziemią, rozbryzgiwały się na boki i rozrzucały na wszystkie strony świecące okruchy, wiatr gonił je, syczał i syczał wśród nich, dmuchał w kurz i piasek, wkońcu ze wściekłości zaczął walić kasztanami o ziemię. Kasztany ciężkie i wielkie spadały z turkołem, toczyły się, po ziemi i pękały, mahoniowym błyskiem rozdzierając przywiedlą, żółtawą skórkę.

Było pięknie, przejrzyste, wietrznie, niebiesko.

Niebieski kostjum miała też Anna. Kostjum był prześliczny, z grubej, mięsistej wełny o chropowatej powierzchni w kolorze blade-niebieskim. Do tego był czarny kapelusz, czarne pantofle i lśniący lakierem torebka. Anna lubiła swój kostjum, był miły i wesoły. Kobiety, mijające ją, patrzyły na nią z zimną ciekawością i niechętnym uznaniem. Anna bezwiednie prostowała się i szła ładniej, niż kiedykolwiek. Czufa się dobrze ubrana.

— Agnieszko, Agnieszko — mówiła do siebie miękko i łagodnie. — Agnieszko, masz najpiękniejsze imię, ciepłe i bezbronne — rozczulała się. Agnieszko, kocham cię — szeptała, przeniknięta szczęściem. Posłuchaj, — mówił głos niczyj, głos niematerjalny — posłuchaj.

— Słucham, — szeptała, drżąc ze wzruszenia. — Kocham cię, najśliczniejsza moja — głos pieszczotliwy opływał ją, przenikał nawskroś. Kocham cię, Marku, Marku, kocham. Czy wiesz... — rozmowa ciągnęła się, przedłużała, rozplątywała w marzeniu.

Anna szła ulicami półprzytomnie, z przymkniętymi oczami, przeświecona wewnętrznym uśmiechem.

W tej krainie wyimaginowanej, Anna wyżywała odziedziczoną po całym korowodzie swych prababek, słodkookich panien, ukrytą najwstydliwiej sentymentalność i czułość. Tam nie było już zastrzeżeń, nie było hamulców. Mówiła najczulsze, głupie, niewymyślne słowa, pozwalała sobie omdlewać ze szczęścia, rozplątywała się w miłości.

Marek istniał naprawdę i naprawdę tak się nazywał. Anna w swych marzeniach próbowała mu nadać inne imię, imię, któreby kochała Agnieszka. Ale to się nie udało.

Andrzej, Antoni, Jerzy, Piotr, wszystkie imiona okazywały się puste. Brzmiały obco, były martwe. Przypominały dziecinne rysunki, kontur głowy, zaznaczony cienką kreską, a w środku biała płaszczyna papieru, w której dopiero mają wyskoczyć czarne punkciki oczu, ust i nosa. Wszystkie te imiona nie miały żadnej treści, nie były tyśiącem nitką połączone z sercem Anny, nie pulsowały tętnem jej krwi. Tylko to jedno imię, Marek.

— Tak. No trudno, mój drogi — mówiła Agnieszka głucho. — Jeżeli uważasz, że inaczej być nie może... Jeżeli to jest rzeczywiście une histoire sans avenir... Widzisz, ja mogę ci ofiarować tylko jedno — łatwe rozstanie. Chcę, abyś, myśląc o mnie, zawsze mógł się uśmiechnąć. Żeby to, co między nami było, pozostało w twojej pamięci, jako coś ładnego. Pamiętaj, Marku...

Anna torturowała się. Zwolniła kroku. Dławiła się rozpaczą. Znów poczuła mdlący ból. — To strach — pomyślała nagle. Strach. — Skąd, dlaczego, czy coś się stało? — Co za pomysły chodzą mi po głowie. Głupia jestem, głupia — gromiła się, wymyślała sobie. — Przecież za chwilę go zobaczę i wszystko przejdzie — tłumaczyła sobie łagodnie.

Wyobraziła sobie długą, pochyloną sylwetkę Marka i strach znowu ją zdławił. Rzuciła się spowrotem w marzenia.

— Pamiętaj, Marku — skoro się rozstajemy...

Anna miała swój sposób na odczynianie uroków. Jeżeli czegoś pragnęła, starała się nie myśleć o tem. Wyobrażała sobie coś wręcz przeciwnego, wychodząc z założenia, że nigdy, a w każdym razie rzadko sprawdza się to, o czym marzymy. Więc wyobrażała sobie najgorsze, aby to najgorsze nie mogło się stać. Teraz także.

Godzinę temu Marek zadzwonił. — Chcę cię zobaczyć. — To nie było nie nadzwyczajne. Widywali się prawie codzień. Ale tym razem Anna wyczuła coś. Głos Marka nie opadł przy końcu zdania, pozostał zawieszony, napięty, nastawiony na inne, dalsze słowa. Powiedział je: — Chcę z tobą o czemś pomówić. — Dobrze, mój drogi — odpowiedziała łagodnie i naturalnie. (Wtedy zaczął się strach).

Anna odłożyła słuchawkę i pomyślała: — To koniec. — I jednocześnie, ani chwilę wcześniej, ani chwilę

później, pomyślała, usłyszała — Kocham cię, Agnieszko.

I dlatego rzuciła się namiętnie, rozpaczliwie w myśl o rozstaniu.

Wśród chrzęszczących liści chodził Marek. Już czekał. Zbierał lśniące kasztany, podrzucał je do góry i słuchał, jak bezdźwięcznie stukają o ziemię.

Anna nadchodziła. Jej niebieski kostjum uśmiechał się zdaleka. Tańczyły po nim plamy słońca i cienie liści.

Zbliżyła się.

— Może jeszcze powiedzieć, że kocha inną — pomyślała w ostatniej chwili. I czując odpływającą krew z mózgu, bezsilnie i blado powiedziała:

— Dzieńdobry, Marku.

Okazało się właśnie, że to był jeden z rzadkich wypadków. Fantazja się sprawdziła.

Marek wziął Annę pod rękę. Ciepło jego ramienia obezwładniło ją. Czuli, że traci resztę sił, że wzbiera w niej miłość, wzruszenie, łzy, skargi. Zaciskając zęby, oswoiła rękę.

Więc tak: — Trzeba skończyć, nie chcę cię ludzić, co było, przeszło, zawsze będę pamiętał, jest ktoś inny...

Anna ujrzała w błyskawicznym skrócie, jak w szalonym filmie: bliźna na powiece, roześmiany profil, ciepły kolor policzka, nabrzmiałe żyły rąk, łagodne zaokrąglenie obejmujących ramion, gładką skórę szyi — na to wszystko padł obraz jej własnej głowy, zwróconej wprost w błękitne niebo o ustach otwartych, rozkrzyczanych zwierzęcym, obłądnym krzykiem.

— Oczywiście Marku. Jeżeli te-

go chcesz — powiedziała spokojnie i poprostu. — Widzisz, mogę ofiarować ci tylko jedno — łatwe rozstanie, — dodała z małym, bladym uśmiechem.

Właśnie tak samo.

Potem Anna wracała. Sama. Nie chciała, żeby ją odprowadzał. Nie mogła go już widzieć. I tak widziała go za dużo, za dobrze. Widziała go wciąż za dobrze. Szła, powtarzając mechanicznie. — Umrę. Nie wytrzymam tego, nie mogę...

Ale mogła. Z tego się nie umiera.

Kostjum Anny uśmiechał się niebiesko i wesoło.

Pomyślała gwałtownie. — To moja wina, sama to wywołałam myśleniem, wyrzuciłam sobie.

Potem znówu głucho, bezmyślnie, pustemi słowami bez treści: — nie mogę, nie mogę, nie wytrzymam...

Było tak, jakby ziemia pękła pod nogami i Anna spadała w próżnię, duszącą głąb, która nie ma dna. Bywają takie sny upiorne — uciezki bezkresne, upadki bezdenne. Nie ma ratunku. Jest. Rzucić się na bruk ulicy i bić głową o kamienie. Anna ujrzała krew, mózg rozprysnięty, poczuła pustą, bezbolesną głowę i westchnęła głęboko z ulgą. Marek — poderwała się nagle myśl zabłąkana i rzeczywistość uderzyła ją spowrotem w zduszone serce.

— Życie bez ciebie, Marku, nie ma życia, bez ciebie — miękki policzek zjawiał się tuż przed jej ustami. Zatoczyła się. Zalała ją fala słów gorących, rozpaczliwych zaklęć, wezwań. Jęczała. Traciła przytomność.

A dzień był wciąż tak piękny, jak przed godziną. Wiatr rozhuśtał się w powietrzu i nie mógł znaleźć ni-

gdzie spokoju i odpoczynku. Białe chmury na niebie uciekały przed nim w popłochu, gubiąc po drodze drobne, przejrzyste strzępy, złote liście na ziemi, nad ziemią rozbrzygiwały się na boki i rozrzucały na wszystkie strony świecące okruchy, wiatr gonił je, szumiał i syczał wśród nich, dmuchał w kurz i piasek, wkońcu ze złością zaczął walić kasztanami o ziemię. Kasztany ciężkie i wielkie spadały z turkotem, toczyły się po ziemi i pękały, mahoniowym połyskiem rozdzierając przywiedłą, żółtawą skórę.

Było pięknie, przejrzyste, wietrznie, niebiesko.

Niebieski kostjum miała też Anna. Kostjum był prześliczny, z grubej, mięsistej wełny o chropowatej powierzchni w kolorze blado-niebieskim. Do tego był czarny kapelusz, czarne pantofle i świecąca lakierem torebka. Anna lubiła swój kostjum — był miły i wesoły. Kobiety mijające ją patrzyły na nią z zimną ciekawością i niechętnym uznaniem.

Anna nie widziała tego. Szła zgarbiona, półprzytomna, ślepa, wpatrzona, wsłuchana w swoje cierpienie.

Naraz, szukając gdziekolwiek, skądkolwiek pomocy, uciezki, pociechy, niespodziewanie dla siebie samej westchnęła tkliwie, najczulej:

— Agnieszko, Agnieszko!

I wtedy, poruszona do dna serca, rozżalona tem obcem współczuciem rozplakała się, roztrzęsła się łzami, nie pamiętając o tem, że to ulica i że to jasny dzień i że ludzie patrzą z natrętną ciekawością.

S. Szurlejówna.

Kobieta poleska

(Z wędrówki po okolicach Telechan nad kanałem Ogińskiego)

— Na targ idziecie?

— Aha.

— Po czemu jajka?

— Piat' hroszi.

— Jakże pięć chcesz wziąć, kiedy Żydzi w miasteczku po 4 sprzedają.

Rozmowa toczy się na drodze leśnej, którą idą w stronę Telechan kobiety z kobiałkami na targ srodowy. Nasz woźnica wtrąca się do rozmowy:

— One Żydowi po 3 sprzedadzą.

— Ja dam po cztery — mówi moja towarzyszka. — Drogi sobie oszczędzisz, a więcej zarobisz, niż od Żyda.

Kobiety przyspieszają kroku, mówiąc coś do siebie.

— Też się pani wybrała — śmiejemy się. — Toż im cała uciecha na targu być. Popatrzy, pochodzi, potarguje, nagada się.

— W każdym razie jajka sprzedać może, za pieniądze kupi sobie, co jej tam trzeba.

— Akurat! Ona hroszi nie chce — odpowiada druga z mych towarzyszek. — Jej potrzeba pewno bawelny do tkania, barwniku albo coś w tym rodzaju. Odda towar za to, co jej obecnie potrzebne. Dlatego tu tyle sklepów żydowskich, że na ich ciemnocie zarabiają. Zeszłej srod targowałam kurę od takiej przechodzącej. Ile chcesz? — pytam.

— Nie wiem — odpowiada.

— No, jakże? Na targ niesiesz i nie wiesz, ile żądać?

— Ja tam nie wiem. Na targu zobaczę.

— Dam ci złoty i dwadzieścia groszy. (Oni tu gęsi po złoty pięćdziesiąt sprzedają).

Nie chciała. Ale mnie ciekawość wzięła, poszłam za nią. Po godzinie chodzenia po targu poszła do Żyda i tę samą kurę oddała mu za towar wartości 70 groszy. One uznają tylko handel wymienny. I nie mają poczucia wartości. Co Żyd mówi, to biorą.

— Ot, pani się dziwi, że pani nie wierzą, czy dobrą cenę daje — wtrącił się znów woźnica. — A toż



Krajobraz poleski

(Fot. Poddębski).

one mnie, swojakowi, nie wierzą. Tylko Żyd ma wiarę u nich. Ja przecież tutejszy. Mój ojciec u hrabiego Pusłowskiego 35 lat służył, ja od chłopaka tu służę. Wiary ja ruskiej, tutejszy. Ano, przychodzą do mnie, do chałupy, baby:

— Przenocować pozwólcie. Na targ my zdaleka przyszły.

— Cóż. Nocuj.

Na drugi dzień spotykam ja je na targu.

— Ej, — mówią — postójcie, no. Powiedzcie nam, ile to będzie 19 funtów po 20 groszy.

Wyliczam im, że 3 złote 80 groszy.

A one mówią:

— Jakże tyle? Kiedy nam Żydówka mówi, że to będzie 2 złote.

— Rozzłościł ja się:

— Jak tobie Żydówka lepsza ode mnie, to poco pytasz?

— Pani myśli, że one wzięły tyle, co ja powiedział? One potrafią zwój lnu za pudełko zapalek oddać.

— No, już zapalek — sprzeciwiam się.

— Toż tu krzesiwo i hubka w użyciu, a nie zapalki.

— Ja tak dla przykładu powiedział, że to one na pieniądzech nie znają się; biorą to, co im potrzeba, ale jak przeliczyć, żeby nie oszukać się, to nie wiedzą. Całkiem ciemny naród.

Wjeżdżamy do wsi Rieczki. Chałupy tu mają białe ramy wokół okienek, czego nie widziałam po wsiach dalszych. Szaro tu, słomą kryte dachy, zszarzałe na stokach, a wrażenie posępności potęguje jeszcze powszechny tu brak sadów i ogrodów przy domach. Pusto, cicho. Ani pies nie zaszczeka. Ani kury nie grzebią. Za płotem jednej z zagrod widać w otwartej szopie, przylegającej do chaty, trzy kobiety, trzepiące len. Fruwa w powietrzu płowy pył. Przy ścianie piętrzą się stosy miękkiego przędzy, puszyste kiście przy garści rozczesywanych na żelaznych szczotkach, unoszą się i opadają w rękach trzepiących. Przy ścianie stoi międlica, leżą jakieś przyrzady.

Wchodzimy tam i zagajam rozmowę „sprawą lniarską“. Mówię o wystawie warszawskiej w lecie, o rodzajach płótna.

— My wszystko same tkamy — odpowiada jedna z gospodyń. — Koszule, fartuchy, spódnice. Ot, popatrzcie, tę spódnicę ja tkala, wypłowiła na deszczu, ale ładna była.

Rzeczywiście, w fałdach barwią się kolory: szary, zielony, buraczkowy w duże kraty.

— Len marny mamy — skarżą się.

— Zato czasu dość, żeby go czyścić — śmieje się najmłodsza z

nich. — Roboty innej niema. Bieda u nas. W chałupie obrządzić i strawy ugotować, to i wszystko. Na jedną gospodynię starczy. A nas trzy w chacie.

— Drobiu nie trzymacie?

— Gęsi trochę jest i kur pięć. Świnie mamy.

Wszystko to zbytnej pracy nie wymaga. Trzy kobiety nie mają co robić, tembardziej, że pewno i te miłe gospoście, nie troszczą się zbyt o czystość. Na codzień nosi się niezmienną na noc odzież wyniszczoną. Dzieciaki „ganiają“ w koszulinach brudnych, umorusane, bo „ktoby nastarczył myć“. Jeszcze dobrze, jeśli im na noc nogi umyć każą. Tylko od święta otwiera się te skrzynie, w każdej chacie stojące, gdzie leżą zwoje płótna, ręczniki weselne, czyste koszule, fartuchy, pasy czerwone, białe zawojki na głowę.

Ale sypia się na drewnianych ławach w nigdy nie wietrzonych izbach.

— Musiałam kiedyś nocować w takiej wsi, gdzie był tyfus — opowiada Siostra Józefa, Franciszkanka z Telechan. — Jak spojrzełam na te brudy w chacie, na te ławy z szarą od brudu płachtami, mówię do gospodyni: — Ja tu sobie przy stole noc przesiedzę. Oprę się na rękach i przesiedzę. Za brudno tu u was.

My lubimy czystość. U nas takich brudów niema.

Kobiety zaszeptały coś z sobą, poruszyły się, chodzą po izbie.

— To nie może być, żeby Siostra siedziała — mówią. — Cóż to Siostra myśli, że u nas to już nic niema. Nie takie my ostatnie biedaki.

Jak zaczęły w skrzyniach szukać, do sąsiadów biegać, to i poduszki się znalazły, i kołdry wełniane, i czyste obleczenie, białe prześcieradła. Spałam, jak król.

— Tyfus groźny tu był?

— Chorowało dużo, ale z całej wsi tylko troje umarło. Nad podziw ci ludzie silni są. W takich warunkach wyżyć... Bez opieki... Bez najmniejszego pojęcia o higienie, o diecie.

Jakby dla podkreślenia tych warunków, tegoż dnia natykamy się w jednej z chat w Rudni na iście wstrząsający obraz.

Jest wieczór, słońce zaszło i szybko zapada ciemność. Małe okienka zaczynają świecić krwawym blaskiem, rozpalającego się na kominach ognia.

Wchodzimy do jednej z chat. Tuż przy drzwiach, wielki piec, z płonącym ogniskiem, w rogu pieca trójkątne wgłębienie, gdzie palą się drzazgi łuczywa. W ich blaskach, migotliwie oświetlających izbę, widać z prawej storny biegnącą wzdłuż pod ścianą ławę i stół przed

nią. Na ławie siedzi stary, siwy o skudłaczony głowie, brodaty Poleszuk w białej koszuli na spodnie wyrzuconej, pasem czerwonym przepasany, w łapciach, od których biegnące sznury obciskają mu nogę do pół tydki. Opiera się na trzymanym w rękę kijku i patrzy nieruchomo przed siebie. Z drugiej strony, w rogu, pod oknem, szeroka drewniana ława, na niej jakiś kłębszmat szarych i płacht brudnych, okrywających postać... jakby z trumny wyciągniętego trupa. Żółto-zielonawa skóra obciska trupa czaszkę, fioletowo-sine są plamy oczu, zlepione czarne kosmyki włosów, z otwartych, sinych warg świecą białe zęby. Na płachcie dwie żółte, woskowo trupie ręce. Ostro rysują się pod płachtą kontury szkieletu. Słychać nieustanny, okropny jęk — stękanie.

— Co jej jest? Na co chora? — pytam ze zgrozą.

— *Plamistyj tif* — odpowiada stary spokojnie.

— Doktor był?

— Był.

— No i co? Lekarstwa macie?

— Doktor powiedział, że jak 12 dni wyżyje, to przeżyje.

— Dawnoż ona tak leży?

— Już 24 dni.

— Co jej dajecie?

— Wodą my jej usta maczali. Dwadzieścia dni nic nie jadła, to wychudła.

— I wciąż tak źle z nią było? Czy teraz jej gorzej, a było lepiej?

— Było lepiej, pani. Dwudziestego dnia jeść zachciała i ot, tak jej pogorszyło się.

— A cóż wy jej jeść dali? Pewno „kartoszek“?*)

— Nie. My jej dali ogórków, rzodkwi z kwasom i mięsa.

Ładna historia! Na wydelikacyjny 20-dniową chorobą i głodówką żołądek.

— Cztery dni już tak jęczy...

Obecna w chacie wraz ze mną p. Chmielewska, z Rzeczek, mówi starcowi, by przyszedł do dworu po ziola i szczegółowo wyjaśnia mu, jak je naparzać.

Chłop rusza się, ożywiony widąc nadzieją:

— To ja zaraz pójdę.

Jakoż później spotykamy go już na połowie drogi.

Nie pomogły jednak te zabiegi. Na drugi dzień chora spuchła.

— Powieźli ją do doktora — opowiadała nam jej sąsiadka. — Tak prosiła biedna, żeby jej nie ruszać, że w chacie chce umrzeć. Mąż nie chciał: Może doktor pomoże — mówi. — Trzeba spróbować.

Ano, w parę dni był pogrzeb we wsi.

Z. Zaleska.

*) kartofli.



Poleszacy przed chatą.

(Fot. Poddębski).



Emil Wauters: „Szaleństwo malarza Hugona van der Goes”.

Sto lat sztuki belgijskiej

Mam obraz niewiadomego artysty i pochodzenia, obraz, który tradycja rodzinna kazała nazywać „portretem królowej”. Otóż, kiedy posłałam go do zakwalifikowania na wystawę malarstwa francuskiego, urządzaną jakieś dziesięć lat temu u Baryczków, jury znawców orzekło, że obraz jest niewątpliwie pierwszorzędnego pędzla, pochodzi z początku XVII w., aże że... mógł go równie dobrze malować północny Włoch lub Francuz, jak Flamand. Do tego stopnia malarstwo portretowe ówczesne było opanowane przez wpływy flamandzkie.

Ten epizod osobisty stał mi żywo w pamięci, gdy oglądałam w Ipsie wystawę belgijską. Wprawdzie na wystawie tej zgromadzono dzieła tylko ostatniego stulecia, ale ileż w tym zbiorze pięknych tradycji i wspomnień muzealnych dawnej Flandrii! Wspaniałe dziedzictwo obowiązuje, ale i obciąża. Patrząc na te por-



Henryk Leys: „W kordegardzie”.

trety, sceny historyczne, pejzaże, sceny rodzajowe, szuka się mimowoli w myśli ich dostojnych pierwowzórów, autorytetów, które narzucały podświadomy, albo i świadomy wybór tematów, rytmu, układ, technikę, fakturę, maniery.

I odnajduje się wiele, ale nie tyle, jakby się można spodziewać. Bo właśnie od początku w. XIX zaczyna się przesączać do Belgji wpływ francuski, dzięki wygnaniu z Francji po restauracji Burbonów słynnego klasycy, Dawida, który osiadł w Brukseli. Uczniem jego był Navez (1787 — 1869), pierwszy chronologicznie malarz niepodległej Belgji. Właściwe odrodzenie sztuki flamandzkiej w Belgji wiąże się ściśle z kierunkiem romantycznym, który narodził się wprawdzie we Francji, ale znalazł idealny grunt w wielkich tradycjach flamandzkiego malarstwa XVII wieku, malarstwa barokowego, pełnego barwności, rozmachu, tempera-

mentu, bujności życia, które znalazło ongiś swój wyraz doskonały w arcydziełach Rubensa.

Patrjotyzm młodego państwa belgijskiego wypowiada się w malarstwie historycznym (Wauters: „Szaleństwo Hugona von der Goes“, Gallait: „Honor pośmiertne oddane hr. d'Egmont i de Hornes“, „Ostatnie chwile hr. d'Egmont“). W tym dziale Belgja przoduje innym narodom, które przejęły od niej upodobanie do tematów historycznych.

Impresjonizm znajduje w Belgji świetnych przedstawicieli. Jest na obecnej wystawie parę kraj-obrazów plenerowych, jakby żywcem przeniesionych z Muzeum Luksemburskiego w Paryżu, tak bardzo przypominają impresjonizm francuski. „Tamiza w Londynie“ Clausa, „Przy wodopoju“ Heymans'a, „Popołudnie w Barsford“ Wouters'a, „Jesień“ Verheydena, „Widok miasta“ Denonne'a — pociągają oko swoistą wibracją i miękkością gamy barwnej, właściwą impresjonistom.

A jednak z całości wystawy odnosi się wrażenie, że środek ciężkości malarstwa belgijskiego tkwi raczej w realizmie. Jest to zresztą zgodne z istotnym charakterem narodu i rasy flamandzkiej. Typowymi dla Belgów są obrazy i rzeźby, mające za temat pracę ludzką. Szczytowy punkt w tej dziedzinie, zarówno pod względem techniki, jak i wyrazu osiągnął Constantin Meunier. Jego rzeźby: „Wybuch w kopalni“, „Tragarz“, „Hutnik“, obraz „Kowal“, to dzieła, w których artysta uwiecznił patos i tragizm pracy fizycznej, połączonej z wysiłkiem mięśni i niebezpieczeństwem życia ludzkiego.

Stevensa „Wózek z piaskiem“, należy również do rzędu tych Zołowskich dokumentów walki o byt i nędzy ludzkiej. Do realizmu wkrada się tu *nastrojowość*, znana nam skądinąd z przepysznej prozy mo-



T. Vinçotte: „Popiersie królowej Elżbiety“.



T. Vinçotte: „Popiersie króla Alberta“.

dernistów belgijskich, w pierwszym rządzie Maeterlincka. *Symbolizm* ze swoim głównym przedstawicielem, Ropsem, kierunek, który właściwie narodził się w Belgji, na wystawie obecnej niemal zupełnie nie jest reprezentowany. Stosunkowo mało jest też prac awangardowych, które dawałyby pojęcie o najmłodszych kierunkach wśród artystów belgijskich.

Jest jedna rzecz uderzająca na tej wystawie, bez względu na epokę, kierunek i indywidualność artysty. To światło i kolor. Nawet w tem dzisiaj zdyskredytowanym (słusznie czy niesłusznie) malarstwie tematowym, historycznym zdumiewa bogactwo i stonowanie barw, pełne smaku rozłożenie efektów świetlnych, które każe myśleć o wspaniałej spuściźnie Rubens'a. Ta sztuka mocno stoi na ziemi, jest mięsista, muskularna i krwista. Może chwilami odczuwa się w niej brak polotu, brak skrzydeł. Kto wie, może te skrzydła zostały poza nawiasem obecnej wystawy...

Grafika, reprezentowana zaledwie przez kilka naście eksponatów i czterech artystów, zdumiewa poziomem. Takie monumentalne prace, jak „Przed giełdą w Brukseli“, „Katedra w Antwerpii“, Katedra w Rouen“ de Bruycker'a, „Akty i postacie kobiece Rassenfosse'a, to dzieła pełne skupionej siły i ekspresji, tające w sobie jednocześnie wszystkie walory flamandzkiego malarstwa w skali czarno-białej.

Wystawa „Sto lat sztuki belgijskiej“, organizowana pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej przez dyrektora Paul Lambotte'a, a składająca się z dzieł, wypożyczonych ze zbiorów Króla Belgji, z muzeów i od zbieraczy prywatnych, jest dokumentem wysokiej kultury, głęboko wrosniętej w podłoże tradycyjne narodu, który przez swoje walki o niepodległość tak bliski jest naszym tradycjom i ideałom.

St. Podhorska - Okołów.

W Palestynie

Myślę, że gdyby się nam poza drogą Tel-Awiv — Jerozolima, nie udało nic więcej zobaczyć w Palestynie, to mielibyśmy już nietylko moc wrażeń, emocyj i powodów do podziwu, ale otrzymalibyśmy również niemal wystarczające pojęcie o całokształcie tutejszego życia i pracy, zobaczylibyśmy także dawną prastarą Palestynę, nowszą arabską i tę najnowszą — nowożydowską. Bo przedewszystkiem droga ta, licząca wszystkiego 60 km., kosztowała aż dwa lata pracy, a więc, biorąc pod uwagę tutejsze tempo, można sobie przedstawić, jakim musi być ona arcydziełem budownictwa komunikacyjnego i wysiłku ludzkiego. Upał, góry, skały i kamienie. Kamienie bez końca. Legenda mówi, że w czasie tworzenia świata rozerwał się Panu Bogu nad Palestyną wór z kamieniami, a ludzie dzisiaj twierdzą, że tymi kamieniami możnaby wyłożyć i zbudować całą Europę.

A więc wyjeżdżając z Tel-Awivu, przejeżdżamy Jaffę, miasto wyłącznie prawie arabskie, z jego kawiarniami i kawiarenkami, z jego niechlujstwem i brudem, czarno odzianymi Arabkami i nieruchomymi postaciami siedzących na chodnikach Arabów.

Za miastem odrazu zaczyna się praca kolonizacyjna „trzeciej Palestyny”. Tereny pokryte pięknymi pardedesami czyli sadami pomarańczowymi, specjalnie w owoce bogatymi tu na tych głębokich piaskach nadmorskich. Sady te ochraniają od silnych wiatrów szeregi cyprysów, w tym celu tu sadzonych, na tle błękitu nieba i dalekiego morza sylwetki tych drzew wyglądają wyniosłe i niedostępnie. Nazwa ich w ję-



Osiedle Ain Harod w Palestynie.

zyku hebrajskim oznacza „łamacze wiatrów”.

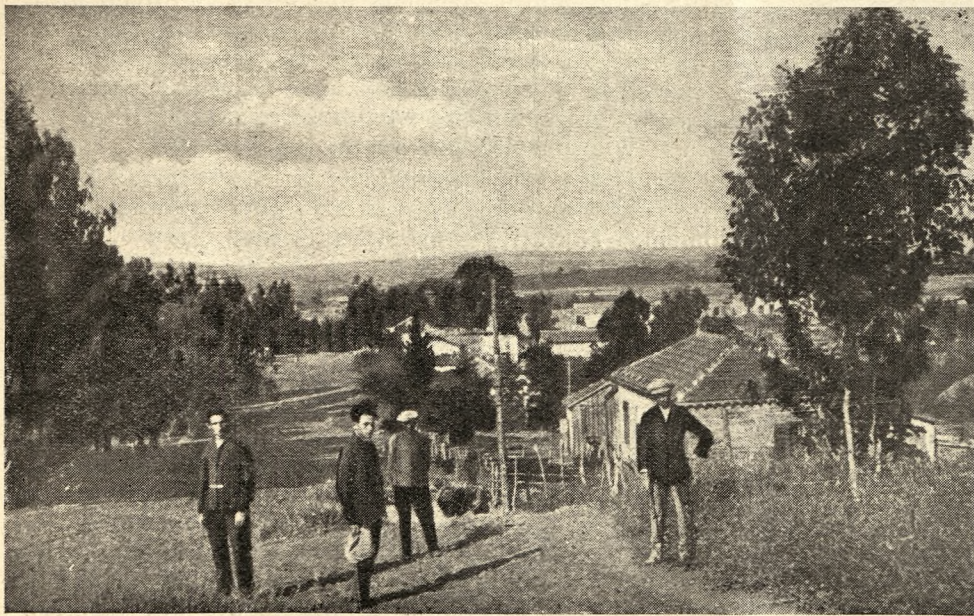
Wjeżdżamy na pola i pardedesy Szkoły Rolniczej w Mikwe-Izrael, pierwszej szkoły tego typu w Palestynie, liczącej 60 lat istnienia i mocno związanej z całą historią sjonizmu. Wzorowo postawione poszczególne działy gospodarki rolnej, bogate zbiory flory i fauny palestyńskiej w szkolnym muzeum, stacja doświadczalna dla analizy gleby i przepiękny ogród botaniczny, pełen najrzadszych okazów z państwa roślinnego, pole dla prób i doświadczeń nad dawną, dzisiejszą i przyszłą roślinnością Palestyny. Dalej ciągną się ogrody licznych kolonij, tłocznie wina w Rischon l'Zion, doświadczalna ferma dla dziewcząt w Aja-Not, pardedesy i pardedesy, aż nagle urywa się wszystko, jakby linijką odkreślone i zaczyna się szczerą, biała pustynia.

zasypana kamieniami. Widok jej jest dla nas czemś ogromnie bliskim i świętem, jest to ta Palestyna, po której stąpały Jego najświętsze Stopy, Palestyna naszej wyobraźni, Palestyna z Pisma Świętego.

Od czasu do czasu przejeżdżamy wieś arabską, zabudowaną, otoczoną marnie utrzymanymi drzewkami pomarańczowymi. Arabowie nie przypuszczali nigdy, że te piaski nadmorskie kryją w sobie takie bogactwo, teraz poszli w ślady żydów i sadzą pomarańcze, lecz do tej pracy nie wystarcza im potrzebnej wytrzymałości. Od czasu też do czasu jedziemy obok „wsi” beduińskiej, składającej się z kilku płacht, rozwieszonych na kołkach, a pod taką płachtą gnieździ się wszystko: dzieci i osioł, napoczęte arbuzy i melony, stare żelazko, i śmiecie, całe góry śmiecia, i nędza, nędza...

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że Arabowie, którym służy najpiękniejszy koń świata, stworzenie tak bardzo czyste i nieznoszące brudu, sami są tak bardzo, tak przeraźliwie brudni. Czegóż podobnego nie można sobie wyobrazić. W czarne płaszczce ubrane kobiety, koniecznie czarna, nie inna, szmatą zakrywające sobie głowę i twarz, ich zasmarowane niebieską farbą twarze (jakieś nieudolne próby tatuowania), często duże pierścienie u nosa, ponad wszelki wyraz brudne i opuszczone dzieci, wszystko to żywiące się odpadkami, — robi przygnębiające wrażenie.

Tembardziej przygnębiające, że obok tego wre i kipi życie, napięte do ostatniego stopnia cywilizacji, huczą i warczą maszyny, ostatnie słowo techniki. Arab obojętnie patrzy na to wszystko. Jak przysłowiowy neapolitańczyk dawniejszego typu, nie ruszy palcem „o ile się dzisiaj już najadł”. Póki ma pół-



Przed własną zagrodą.

piastra w kieszeni (akurat 13¹/₂ grosza), leży w wąziutkim cieniu jakiegoś kamienia, czy rozwalonego muru, gardząc wszelką pracą.

Rzadko spotyka się fellacha czy beduina na koniu, natomiast co krok napotyka się objuczonego do ostatniej możliwości osła, dźwigającego w dodatku jeszcze samego właściciela, którego czarno odziana połowica biegnie obok, dla pewności trzymając się osłego ogona. Jest to najbardziej rozpowszechniony sposób lokomocji, nawet samochód nazwali Arabowie „żydowskim osłem“. Zrestą ryczą jednakowo, tylko osioł żałośniej, co jest w jego położeniu zupełnie zrozumiałe.

Arabowie podmiejscy i mieszczanie wyzbyli się przyrodzonego lenistwa do połowy, pracują normalnie, z przykryj konieczności wprawdzie, uważają jednak za główny cel swego życia siedzenie w kawiarence przy „nargile“ i nigdy nie kończące się przebieranie palcami długich różańców. Jak w jednym tak i w drugim dochodzą do precyzji. Widziałam jak palą naraz dwa „nargile“, swój i chwilowo nieobecnego sąsiada i jak przebierają zgrabnie różaniec, trzymając ręce za plecami. Myny mają przy tym pełne błógiego zadowolenia, z domieszką może lekkiego oglupienia.

O wiele sympatyczniejsze wrażenie zrobili na mnie zupełnie czarni nubijczycy, czarni niesamowicie, o wiele czarniejsi od murzynów. Mimowoli użyłam tu kilkakrotnie słowa „czarny“, chcąc widocznie spotęgować wrażenie i dać pojęcie o kolorze ich skóry. Wyobrażałam ich sobie zawsze silnie rozrośniętymi, o muskularnych ciałach i szerokich barach. Owszem, spotykają się tacy, lecz przeważnie są to długie, bardzo szczupłe postacie o wąskich



Domki w Bet-Alfa.

ramionach i cienkich nogach, postacie milczące i w przeciwieństwie do narzucających się krzykliwych sprzedawców arabskich, zupełnie spokojne o dziwnie smutnych twarzach i melancholijnym spojrzeniu dużych, wypukłych oczu. Przypominają egzotyczne zwierzęta, zamknięte w klatkach.

Zbliżając się do Judei, już za Er-Ramleh, wjeżdżamy w pasmo gór, po których nasza autostrada zaczyna „wyczyniać“ niesłychane serpenty, zakręty, zjazdy pod ostrym kątem, wspinaczki po zboczach, z miłą dla nas perspektywę zlecenia „zgórki na pazurki“ przy najmniejszym nieostrożnym ruchu ręką szofer. Lecz ten pogwizdując prowadzi olbrzymi, przepelniony autobus, z górą bagażu na dachu, jak dziecinną zabawkę, przelatując nad urwiskami, spadając wdół, wzlatając do góry i nie dając człowiekowi nawet tchu ze strachu złapać.

Jednak dopiero później przekonałam się, że droga Tel-Awiw—Jeruzolima to wogóle nie, jakaś jazda na dzieciennym trzykołowym rowerku, wobec drogi do Martwego Morza albo na Górę Tabor. Takich odważnych szoferów, o tak spokojnej i pewnej ręce, a wściekłym tempie nie spotka się chyba nigdzie. Pomawiajcie więc Żydów o tchórzostwo! I tych co kierują i tych co temi drogami jeżdżą. No, ale też mają maszyny!

Zdawałoby się, że pustynia palestyńska jest jednostajna, a przecież na chwilę nie można oderwać oczu od wciąż zmieniającego się układu gór, od tych wielkich pustynnych przestrzeni, przytłaczających olbrzymiami swych skał, oślepiających bielą swego układu, przytłaczających gniewnymi brzdami swych wawozów. Nie mogłam oprzeć się wrażeniom, że na tych przestrzeniach widać ślady gniewnej Ręki Boga.

Zbliżamy się do celu naszej podróży, już przejeżdżamy zbocze góry Mozy, na szczycie której w pięknym sosnowym lesie (sosna skalna) znajduje się sanatorium dla rekonwalescentów Robotniczej Kasy Chorych. Urządzenie sanatorium „Asrach“ jest zupełnie nowoczesne, podporządkowane, jak wszystkie tego rodzaju instytucje w Palestynie, trzem zasadom: higienie, największej prostocie i celowości.

Zdaleka widać drewniane domki robotniczej kolonii Kirjath-Anawim, rozrzucone szeroko po zboczu góry. Jest to jedna z pierwszych prób opanowania tych skalnych przestrzeni. Po uprawianiu kamieni i uprawie gleby okazało się, że jest to okolica dobra dla sadownictwa.

L. Ch.



Ulica w Tel-Awivie.



Otwarcie posiedzenia Akademii Literatury. Czyta Wacław Sieroszewski, obok niego po prawej Leopold Staff i Zofja Nalkowska.

DOROCZNE POSIEDZENIE AKADEMII LITERATURY

Już poprzednie zebrania Akademii w związku z wręczeniem nagrody młodych Choromańskiemu i z obchodem stulecia Pana Tadeusza przyzwyczyły nas do tej atmosfery prostoty i koleżeńskości serdeczności, jaką wytwarza Prezes Akademii, Wacław Sieroszewski, a którą zgodnie z nim podtrzymują pozostali akademicy.

I tym razem górował ten zasadniczy ton w części towarzyskiej zebrania, choć część oficjalna z natury rzeczy musiała mieć charakter wyjątkowo uroczysty z powodu obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, ministrów, korpusu dyplomatycznego i licznych dostojników państwowych. Większość zebranych stanowili przedstawiciele świata literackiego, artystycznego i naukowego, oraz najbliższe rodziny akademików. Sami swoi. Dla tych „swoich” sala Akademii okazała się jednak zbyt ciasną. Na długo przed rozpoczęciem rzędy krzesel wypełniły ściśle wieczorowe toalety pań, fraki i mundury. Orderów nie było, tylko piersi akademików zdobiła wielka gwiazda. Srebrzyła się też na fraku założyciela i pierwszego członka honorowego Akademii b. premiera Janusza Jędrzejewicza.

W przedziwny sposób w tej białej, niegdyś balowej sali magnackiego pałacu tradycja skojarzyła się z nowoczesnością. Na ścianach stare obrazy, za progiem wystawa średniowiecznych i renesansowych iluminacji, a tu oto, osiwały na wygnaniu sybirskiem, ale krzepki, rześki i radosny Sieroszewski, otwiera zebranie w oślepiającym blasku jupiterów, przed wycelowanymi lufami aparatów fotograficznych, oko w oko z mikrofonem, który roznieś głosy mówców po całym globie.

Zagajenie Sieroszewskiego było rzutem oka na te przeobrażenia du-

chowe, jakim uległ człowiek po wielkiej wojnie. „Człowiek pewny swego jutra, wierzący w swoją wartość i moc, w niewzruszalność swego majątku i innych wpływów, w ciągłość swej pracy, w wierność należnych mu uczuć znikł. Na jego miejsce przyszedł człowiek z pobojowiska — nieufny, skrzywdzony, podejrzliwie traktujący wszelkie zobowiązania moralne, czciciel gwałtu i siły... Czy ten człowiek mógł budować społeczność?” Jednak wiekowa kultura zwycięża. Był jednak okres wielkiego, nawet pogardliwego zaniedbania skarbów duchowych. Dostrzedz można było, w owym czasie odpływ energii i talentów artystycznych od własnych warsztatów pracy do biur, fabryk, do przemysłu, handlu, sportu. W miarę jednak, jak wspomnienia wojenne odchodziły w przeszłość, w miarę jak zapotrzebowanie na dzieła sztuki wzrasta, zaczynają się organizować dla obrony swoich interesów oraz interesów samej sztuki — plastycy, literaci, muzycy. Wtedy to wypływa na widownię publiczną również idea Akademii Literatury, jako pionu, według którego mają się z czasem krystalizować wszystkie zainteresowania i potrzeby literackie. Pierwszy rok Akademii upłynął na pracach przygotowawczych, w których przyświecało Akademii przeświadczenie, że musi stać się ona przedstawicielką i opiekunką całokształtu literatury polskiej.

Sprawozdanie z rocznej działalności odczytał sekretarz generalny Akademii Juliusz Kaden-Bandrowski. Działalność ta rozbiła się na dwa fronty: wewnętrzny i zewnętrzny. W zakresie wewnętrznym były to prace nad organizacją instytucji, nad regulaminem, nad zmontowaniem poszczególnych sekcji (propagandy, czytelnictwa, bi-

bliotecznej, konkursu dramatycznego, regulaminowej, wydawniczej, do spraw zagranicznych, wyróżniania utworów).

Z prac idących na zewnątrz, należy wymienić przede wszystkim opracowanie projektu ustawy o samorządowych bibliotekach gminnych oraz współpracę przy redakcji ustawy o prawie autorskim.

Akademja stara się pozatem roztoczyć opiekę nad młodą literaturą, ustanawiając nagrodę dla młodych, udzielając 10 stypendjów, ogłaszając konkurs na sztukę sceniczną z nagrodą 10.000 złotych, konkurs na powieść (w porozumieniu z „Książnicą - Atlas”) z nagrodą 4000 zł.

Na wydawnictwa własne Akademii narazie pozwolić sobie nie może z powodu braku własnego budżetu. W projekcie jest wydanie cyklu listów wielkich pisarzy, jak Żeromski, Brzozowski i inni, oraz zbiorowe wydania prozaików: Prusa, Orzeszkowej i Dygasińskiego.

Akademja nawiązała ściślejszy kontakt z Akademią francuską, belgijską i flamandzką. Stara się również o utrzymanie stałej łączności z życiem kulturalnym prowincji. Wreszcie na życzenie ministra oświaty pospieszyła z gotowością współpracę przy ustalaniu programów szkolnych i wyborze podreżników. Trzecim punktem programu, którego oczekiwano z wielką ciekawością, był dykurs K. M. Rostrowskiego „Romantyzm w obliczu współczesności”. Z powodu choroby znakomity autor „Niespodzianki” nie mógł przybyć na zebranie, i referat jego został odczytany z dużą swadą i zacięciem przez Kadena-Bandrowskiego.

Jest to głęboka pod względem treści i stylistycznie olśniewająca analiza współczesności, ze stanowiska najwyższych i nieprzemijających wartości duchowych. Autor poddaje ostrej rewizji pojęcia romantyzmu, klasycyzmu i odwiecznego konfliktu między temi dwiema postaciami życia i twórczości, popierając swe wywody przykładami, tryskającymi wytworną ironią.

W ostatecznej konkluzji dochodzi do wniosku, że pomimo wszystko epoka nasza jest nawskroś romantyczną przez swój czyn polityczny i społeczny, przez kult akcji i ruchu, uwielbienie faktu, supremację emocjonalnych hasel.

Po zamknięciu posiedzenia zebrani przeszli do dolnych sal na pogawędke towarzyską przy „akademiczkiej filiżance herbaty”, która okazała się suto zastawionym bufetem. W przemyśłym nastroju zebranie przeciągnęło się do północy. Licznej ekipie wytwornych lecz skromnie ubranych pań przodowała w urodzie i wdzięku „jedynaczka” Akademii—Zofja Nalkowska. S. P. O.

Wychowanie i szkoła

Koedukacja czy rozdział

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że system koedukacji w szkole średniej ma licznych przeciwników.

Ma ich o wiele mniej, o ile chodzi o szkolnictwo powszechne, chociaż i tu się znajdują. Nikt też dziś (dawniej było i to) nie protestuje przeciwko koleżeństwu dwóch płci na wyższych uczelniach, ale w sprawie szkolnictwa średniego społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy: zwolenników i przeciwników koedukacji.

Więcej zgodne jest nauczycielstwo. Tu najważniejsze głosy wypowiadają się za systemem koedukacyjnym. Na Kongresie wychowania moralnego, odbytym we wrześniu r. b. w Krakowie, cały szereg prelegentów: pp.: Maurette Ferrière z Szwajcarii, Mart Radin ze Sztokholmu, posłanka Jaworska i wielu innych nadesłało i wypowiedziało referaty, uzasadniające celowość koedukacji. Przeciwko niej wystąpił tylko Niemiec, dr. Robert Ritter. No, ale temu, wobec panującego w tej chwili w Niemczech régime'u, nie należy się zbyt dziwić.

Dziwić się, wogóle trudno, gdyż ludzkość ma to do siebie, że przeraża ją, a bardzo wielu i gniewa każda rzecz nowa, odmienna od systemu, który trwał od szeregu lat. Ludzie pozatem nie lubią się zastanawiać i nie chcą łatwo zgodzić się na to, że cały szereg zasad, które miały rację bytu, rację tę mniej lub więcej szybko tracą z biegiem czasu i zmianą warunków, a nawet samej psychiki człowieka, która także zmienia się gruntownie z czasem.

Jak już wspomniano powyżej, był czas, kiedy koleżeństwo ludzi dorosłych, studentek ze studentami wywoływało te same zastrzeżenia i było jednym z poważnych powodów niedopuszczania kobiet do wyższych studjów. Ci, którzy nie chcieli zupełnego ostracyzmu kobiet z dziedziny wiedzy, otwierali przecież specjalne kobiece kursy, jak Baranieckiego w Krakowie, Miłkowskiego w Warszawie, Bestużewa w Petersburgu.

A jeszcze dawniej utrzymywano przecież, że przebywanie towarzyskie dwóch płci jest niewskazane! Sama sprawa nie jest w dodatku zupełną nowością, gdyż koedukacja stosowana jest od wielu lat, nie oswojono się z nią jednak dotychczas, tymczasem teraz, w związku z przebudową sieci szkolnej i przeprowadzaną reformą szkolnictwa staje się dla nas specjalnie aktualną i ważną.

Koedukacja jest dotychczas szeroko stosowana w ogromnej większości krajów zachodnich. We Francji, Anglii, w krajach Skandynawskich. Jest niemal powszechną w Ameryce, nie mówiąc o Rosji i Japonji. Rezultaty wydaje wszędzie bardzo dobre.

Dlaczego więc ma być groźną w Polsce?

Mogłaby tu grać rolę odmiennosć rasy i wynikająca z niej różnica temperamentów młodzieży, ale to właśnie przemawia raczej na korzyść koedukacji u nas. Nie jesteśmy narodem południowym, o bardzo wczesnym rozwoju i przeroście temperamentów, mamy zato dużo idealizmu. Tak, pomimo wszelkich na-

rzekań w przeciwnym kierunku, młodzież nasza jest więcej uduchowiona od młodzieży wielu innych krajów.

Pozatem nikt nie przeprowadza u nas selekcji dzieci w domu, na spacerze, w zabawie. Dłaczegóż więc to, czego nikt nie uważa za szkodliwe na innych, mniej nieraz strzeżonych terenach, miałyby przynosić szkodę w szkole, pod kierunkiem i opieką nauczycieli i wychowawców?

Jest również rzeczą doskonale znaną i wiadomą, rzeczą, którą doprawdy jużby należało przestać wyjaśniać, że wszelkie zakazy, przegrody i rozdziały dwóch płci mają tylko wpływ podniecający jeżeli nie zmysłowość, to ciekawość. A od jednej do drugiej bliska droga. Jeżeli zaś zdarzą się osobniki wyjątkowe, na które koleżeństwo szkolne z płcią odmienną wywiera wpływ niepożądany, to będą to istotnie wyjątki, które zawsze gdzieś można odosobnić, ale które, właśnie jako wyjątki potwierdzają regułę. Dla wyjątków tych jednak nie można poświęcać całej ogólnej zasady. Zresztą dadzą one sobie radę i bez Koedukacji. Są przecież rozflirtowane uczennice i uczniowie z gimnazjów „jednopłciowych“. Ciekawym eksperymentem byłoby przeflancowanie takich właśnie osobników do koedukacji, jakby to na nie podziałało. Osobiście znam jeden charakterystyczny przykład. Szesnastolatka, z jednego z gimnazjów żeńskich warszawskich, dziewczynka z gatunku rozpieszczonych, chronionych wszelkimi zagródkami troskliwości i *savoir-vivre'u* mocno konserwatywnego, otaczana mimo tego natrętnymi hołdami wszelkiej płci męskiej, z jaką miała styczność, i bardzo na te hołdy wrażliwa, została nagle zmuszona, wskutek warunków rodzinnych, do przeniesienia się do gimnazjum koedukacyjnego na prowincji. Chłopcy tam byli mało wytworni, ale zato rękami i zębami czepiający się nauki, jako jedynej rękojmi lepszej przyszłości. Po roku nie poznałby nikt tej dziewczynki. Rozflirtowanie, jakiegoś ataki melancholji czy hysterji, na które ją w Warszawie leczono bezskutecznie, minęły, nie zostawiając śladu, stopnie zato poprawiły się o sto procent.

Drugą, obok „moralności“ jest sprawa biopsychicznej różnicy płci. Dużo mamy tu wywodów naukowych (może i pseudo - naukowych niekiedy) o innym tempie rozwoju i innej „mentalności“. A cóż wobec tego mówi program szkoły średniej? Jeżeli różnica „mentalności“ ma przeszkadzać siedzeniu w jednej sali wykładowej, to jakim sposobem ta młodzież ma przechodzić jednakowy program szkolny? A przecież przygotowanie gimnazjalne do wyższej uczelni musi być jednolite. Ta inna „mentalność“ kobiety to też jeszcze szaniec z okopów dawnych metod, broniących kobiecie dostępu do wiedzy. Jeśliby wziąć pod uwagę ten argument i traktować go serjo, to przecież nie byłoby innej rady, jak stworzyć inny program dla gimnazjów dla dziewcząt, a o tem chyba nie będzie już mowy.

A teraz jeśli weźmiemy pod uwagę względy praktyczne, jaki byłby rezultat zniesienia koedukacji? Jeżeli Min. W. R. i O. P. wypowiedziałyby się ostatecznie za oddzielnym kształceniem młodzieży, ileż trzeba by założyć nowych szkół, oddzielnych dla dziewcząt?

Czy mamy na to? Czy budżet nasz to wytrzyma? Dziś, gdy dla budowy niezbędnych szkół powszechnych potrzebna jest szeroka propaganda i wydatna pomoc społeczeństwa, czy można poważnie myśleć o podwojeniu wszystkich gimnazjów?

Tu jest najboleśniejczy punkt całej sprawy. Zniesienie koedukacji, to nawrót do dawnych metod oddzielnych „pensyj“, to zamknięcie drogi do wiedzy dziewczętom niezamężnym, to wiecznie stara i ciągle, mimo równouprawnienia, konstytucji i wszelkich ustaw powracająca, ciągle szukająca sobie nowych dróg i wciskająca się w życie wszystkimi porami, pod płaszczykiem moralności lub metod naukowych, krzywda kobiety. Niech o tem przede wszystkim pomyślą matki, które, jakże często, przez brak wiedzy, doświadczenia, lub zwrócenia dostatecznej uwagi, nie potrafią przygotować odpowiedniego podłoża do koedukacji w domowym wychowaniu swych dzieci, a później, konserwatywne i za-

lęknione, sądzą, że inny gmach gimnazjalny będzie pancernym i środkiem bezpieczeństwa! Niech pomyślą, czy brak wiedzy i przygotowania fachowego nie zaszkodzi więcej ich córkom, niż towarzystwo rówieśników w sali wykładowej, pod okiem nauczycieli wychowawców.

Niech pamiętają, że niema dzieci „niemoralnych“, że w duszy każdego dziecka jest przeciwnie pierwiastek niewinności i dobroci. Naturalną, biologiczną zmysłowość człowieka przestaliśmy też już chyba uważać za „niemoralność“. Chodzi tylko o czas jej i normalną linię rozwoju. Chodzi o wyrobienie harmonijnego zestrojenia władz umysłowych i biologicznych, o zdrowy i racjonalny, nie oparty na sztucznych przegrodach, zakazach i tajemnicach, lecz świadomy i opanowany najwyższym poczuciem równości, moralności i człowieczeństwa stosunek wzajemny młodzieży. Takiego stosunku nie wytworzą nigdy przegródki i odosobnienia. Mamy chyba dosyć długi okres doświadczenia w tym względzie poza nami. Koedukacja zaś, chociaż stosunkowo nowa, przynosi już poważne rezultaty racjonalnego, pozbawionego atmosfery niezdrowego flirtu i podniecenia, współżycia młodzieży.

Natalja Jastrzębska.



PRZEJŚCIE DLA DZIECI!

Plakat z powyższym napisem umieszczony w pobliżu szkoły Craydon zapewnia całkowite bezpieczeństwo dzieciom, które przechodzą przez jezdnię w drodze do szkoły.

Nauczyciel jest niesprawiedliwy

Niektórzy rodzice z chwilą oddania dziecka do szkoły przestają się o nie troszczyć w sensie kontrolowania postępów i zmian w jego umysłowości. Wybrana szkoła jest podobno świetna. Wszystkie potrzebne wiadomości dziecko z niej wyniesie powinno. Zatem dbałość o dziecko polega odtąd na staraniu o jego ubranie i odżywianie, zaś kontrola rozwoju umysłowego na kontroli stopni w dzienniczku. Dziecko pół dnia, a często dłużej, jest poza domem, matka zyskała więcej czasu dla siebie. Oczywiście nie należy uogólniać, ale trzeba zaznaczyć, że są tacy rodzice, którzy w miarę wzrastania dziecka wyznają kompletne desintéressement rodzicielskie dla spraw, żywo obchodzących ich syna czy córkę. Są zajęci własnym życiem, dzieci zaś wkraczają w zupełnie nowy świat szkolny i koleżeński. Stopniowo oddalają się od domu i rodziców.

Przez obowiązek i grzeczność rodzice słuchają skąpych informacji o szkole, jakich zechce im dziecko ich udzielić i na tem koniec. Nie wnikając głębiej w szkolne życie swego syna czy córki, skłonni są skutki brać za przyczyny. Dziecko ich nigdy nie kłamało, zatem opinia dziecka o szkole jest miarodajna i pomalu staje się też opinią rodziców. Jeżeli prawdomówny Janek twierdzi, że nauczyciel jest niesprawiedliwy, to widocznie tak jest. Nie zastanawiają się, jaką drogą syn ich do takiego wniosku doszedł. Stąd wynika szereg przykrych konsekwencji.

Wyobraźmy sobie, że wskutek wrodzonych skłonności i doskonałych wykładów w szkole, 14-letni chłopiec żywo zainteresował się naukami przyrodniczymi. Nie obchodzi go, ani historia ani matematyka, a wszystek swój czas poświęca studjowaniu podręczników przyrodniczych. Naturalnie praca jego jest w szkole oceniona, ale tylko przez nauczycielkę przyrody, gdyż historyk i matematyk są wybitnie niezadowoleni. W rezultacie raz i drugi uczeń otrzymuje od nich oceny niedostateczne. Jeżeli jest z natury krnąbrny, a nie był odpowiednio w domu od dzieciństwa pokierowany, dochodzi do przykrych scysji pomiędzy nim, a niezadowolonymi nauczycielami. Rodzice, widząc szereg niedostatecznych ocen w dzienniczku, nareszcie się zaniepokoiłi. Syn jednak z całą stanowczością twierdzi, że matematyk wogóle się do niego uprzedził, a historyk jest powszechnie znany w szkole z niesprawiedliwości.

Bardzo niewielu rodziców nie zadowolonych się takim tłumaczeniem i okaże dość stanowczości w wymaganiach, aby pokrzywdzony syn wziął się solidnie do pracy nad przedmiotami, z których ma niedostateczne oceny. Jeżeli niedosć wcześniej zorientowano się w sytuacji i dziecko ma tak duże zaległości, że samo dać sobie rady nie może, rozumni rodzice zgodzą się nawet na czasowe korepetycje z danych przedmiotów.

Większość jednak rodziców, a zwłaszcza matek, gdyż matki przede wszystkim spełniają obowiązki wychowawcze, da wiarę synowi, przyjmie do wiadomości, że nauczyciel matematyki uprzedza się, a nauczyciel historii jest niesprawiedliwy i często przez kilka lat szkoły wraz z synem stanowczo tę opinię będzie podzielać.

Opinia owa zaś jest z gruntu fałszywa. W klasie jest kilkudziesięciu uczniów. Dzisiejszy system szkolny poszedł w kierunku indywidualizowania wychowanków. Jednak przy najlepszej woli niepodobna więcej czasu poświęcać danemu uczniowi, niż można. Aby przejść z całą klasą określony kurs, trzeba wymagać wyteżonej pracy od wszystkich. Jeżeli dany uczeń bagatelizuje sobie pewien przedmiot, a niekiedy dla pozory i wątpliwej sławy uciemionej ofiary stara się umyślnie narazić nauczycielowi (ironiczny uśmiešek przy odpowiadaniu), czyż można się spodziewać innych ocen z danego przedmiotu, niż niedostateczne. Rodzice nie chcą niestety pamiętać, że praca nauczyciela jest tak bardzo ciężka. Gdyby oburzona matusia sama musiała uczyć gromadę rozdokazywanych i złośliwych chłopaków, może uciekałaby się nawet do surowych kar, nie tylko do niewinnych dwójek w dzienniku.

Zaniepokojeni rodzice wolą jednak iść po linii najmniejszego oporu. Najłatwiej miotać gromy na głowę nauczyciela, którego nawet nie zna się osobiście. Z instytucji t. zw. wywiadówek w szkole korzysta niesłychanie mało rodziców. Od paru lat obserwuję to zjawisko i zauważałam rzecz charakterystyczną: oto częściej przychodzą rodzice dobrych uczniów, niż złych. Zatem kwestja niedostatecznych postępów ucznia jest prawdopodobnie skutkiem zbyt małego zainteresowania dzieckiem jego rodziców. Inaczej niepodobna sobie tego wytłumaczyć. Oczywiście, że słuchanie nagany postępowania wypieszczonego jedynaka jest przykre. Jednak tylko zasięgnięcie informacji z praw-

dziwego źródła umożliwi wyratowanie dziecka z ciężkich opresyj, w jakich się, bądźmy szczerzy, prawdopodobnie z własnej winy znalazło.

Wina ta może być niejednokrotnie niewielka, ale im dalej w las, tem więcej drzew. Pierwsze uchybienie w obowiązkach szkolnych wywołało następne. Często dziecko, zwłaszcza w niższych klasach, opuściło się w danym przedmiocie poprostu ze strachu. Raz nie odrobiło piśmienne go ćwiczenia, albo zgubiło kajet, więc wogóle przestaje odrabiać zadane lekcje. W domu nie wspomina o tem ani słowa, tylko skarży się, że nauczyciel go nie lubi. Mówi zatem w zupełnie dobrej wierze tylko część prawdy, którą rodzice przyjmują za całą prawdę. Dlatego tak bardzo ważne są wszelkie wzajemne wyjaśnienia pomiędzy rodzicami i szkołą.

Oczywiście naprawienie złych stosunków dziecka w szkole jest rzeczą trudną i wymagającą dłuższego czasu. Jedno staranne przygotowanie lekcji nie może natychmiast zmienić opinii o notorycznym próżniaku. Tu jednak rodzice, wiedzący, w jaki sposób wytworzyła się pożałowania godna sytuacja, mają pole do działania. Przede wszystkim muszą przez czas dłuższy skrupulatnie dopilnowywać dziecko w jego obowiązkach. Nie mogą poprzestać tylko na samej obietnicy poprawy. Muszą także, choćby wbrew swemu osobistemu przekonaniu, wykorzenić z dziecka jego niechęć osobistą do danego nauczyciela. Trzeba pamiętać, że pedagog w gromadzie powierzonych jego pieczy istot widzi przede wszystkim dzieci. Nie można więc zatargu pomiędzy czternastoletnim chłopakiem a jego nauczycielem traktować, jak nieporozumienia pomiędzy dwiema dorosłymi osobami. Nauczyciel gniewa się, bo musi. Nie znaczy to jednak, że przez antypatję osobistą będzie danego ucznia przez cały czas pobytu w szkole oceniał niesprawiedliwie. Musi jednak zobaczyć dobrą wolę ucznia i istotną chęć poprawy.

Rozumni rodzice mogą dziecku wiele w takim razie dopomóc. Przez odpowiednio prowadzone rozmowy można przekonać dziecko o konieczności i celowości studjowania danego przedmiotu. Przez podciągnięcie dziecka do poziomu klasy można w niem obudzić zainteresowanie dla historii czy matematyki, które odtąd będzie mogło łatwiej sobie przyswajać.

Hanna Koryzna.

Nocne tropy

Uczniowie z pierwszej A najbliższy tydzień mieli spędzić w osiedlu. Wiadomość o tem zelektryzowała nietylko umysły chłopców, lecz i tysiącem trosk napełniła serca matek.

Mimo, iż chłopcom podyktowano w klasie pełną instrukcję właściwego ekwipunku, matki walczyły z wątpliwościami, czy nie należy dołączyć tego lub owego „ku wygodzie” jedynaków. Z tego powodu odjazd z podmiejskiej stacji był okraszony salwami szczerzej wesołości, gdy niektórzy z kolegów zżajani ukazywali się z walizami, których rozmiary nie powstydzilyby się podróżnicy transatlantyckiej. Roztkliwienie rodziców, żegnających synów „na niewiadome”, ukoilo miłe zapewnienie profesora, iż środa jest dniem przewidzianym na odwiedzi-ny rodzicielskie.

Punktem zainteresowań dla wszystkich, i tych co go już znali i co mieli poznać, był pan instruktor sportowy z CIWF-u. O nim też krążyły legendarne wieści. Rozgrywki sportowe i „wyprawy wojenne”, organizowane przez pana instruktora, stanowiły cały nieprzearty urok pobytu w osiedlu. Zmniejszona do minimum ilość godzin wykładowych i pogodna jesień sprzyjały znakomicie harcom na świeżem powietrzu.

Pierwszy dzień pobytu zawiódł jednak nieco oczekiwania rozpłomienionej wyobraźni chłopców. No, cóż, kołobieg, zjeżdżalnia, huśtawki, przepłotnia, boisko, laskiem otoczone; można ich było używać dosyta, lecz gdzie tu doszukiwać się tak upragnionych emocyj?

Pan instruktor uśmiechał się tajemniczo, patrząc na chłopców, a na dobranoc obiecał im, po lepszym zapoznaniu, „wielką grę” na dzień następny.

Nadzieje nie zawiodły. Nazajutrz podzielono chłopców, według sal sypialnianych, na dwa obozy. I jako próbną rozgrywkę sprawności urządzono „podechody do chorągiewki”. Plemię „Nieustraszonego Sępa” otrzymało chorągiewkę do dowolnego zatknięcia na wyznaczonym terenie. Plemię „Stalowej Dłoni” miało ją odkryć i zdobyć. Opaski, zerwane z ramion dzielnych wojowników, miały być sromotnym dowodem pokonania którejkolwiek ze stron.

A że zwycięstwo może być tylko jednostronne, więc obóz „Stalowej Dłoni” z niemą wściekłością zaciskał własne pięście, otuchę czerpiąc w ufności, że przyszłość należy do wytrwałych.

I przyszłość niedługo kazała czekać na wymiar sprawiedliwości, bo oto po podwieczorku, gdy pan in-

struktor polecił „Stalowej Dłoni” „przenieść meldunek” do towarzyszy odciętych przez plemię „Nieustraszonego Sępa”, „Stalowa Dłoń” okazała tyle zręczności i sprytu, że meldunek został, mimo starć i przeszkód, doręczony we właściwym czasie.

Sypialnie dnia tego huczały od sporów, a nawet czynnych porachunków. I cóż dziwnego? Nareszcie było co przeżywać! Gdyby nie ciamajda Smykał, który na 21-y metrze od chorągiewki wlaźł prosto na strażnika i uskoczył w bok zamiast biec naprzód i na 19-y dał się schwytać, plemię „Stalowej Dłoni” święciłoby dwukrotnie zwycięstwo!

Na ten sam temat plemię „Nieustraszonego Sępa” przeprowadzało wewnętrzne porachunki, którym kres położyło dopiero zagaszenie świateł w obu sypialniach.

Dnia następnego wypadła wycieczka przyrodnicza, a od południa wizyty rodziców, co uniemożliwiło wszelkie rozgrywki sportowe. Chłopcy byli raczej tem rozgoryczeni i dziwnie wstrzemięźliwie objawiali żal z powodu krótkotrwałości rodzicielskich odwiedzin.

A matki? Zwalczały bohaterstwo rozterkę duchową, objawy braku serca „niewdzięczników” wynagradzając sobie upewnieniem, że im tu chyba dobrze w tem osiedlu.

Po odjeździe rodziców padła nagle wśród gromadki, niewiadomo skąd, kolportowana wieść, że dziś będą „nocne tropy”. Nocne tropy! Jednym żywiej zabiły serca lub przebiegł ich dreszcz, innym włosy zjeżyły się na głowach, przykrytych na szczęście czapkami. Chłopcom nie wolno było przebywać na dworze po zachodzie słońca, a tu nagle... nocne tropy. Rozkaz pana instruktora rozwiął wszelkie wątpliwości. O 6,15 zbiórka w sali wykładowej, rozdział na dwa obozy, „zasadka”! Teren operacyjny—droga wiodąca przez okoliczny las, aż do zagajnika! A w zagajniku są oswojone sarny! Niech tak która wyjdzie zagnęła na człowieka, a zaszeleści w krzakach, to Bóg wie, czem wydać się może w ciemności! A nawet dobrze znane drzewa okolicznego lasu, czy nie wystarczą swym fantastycznym kształtem, by porządnego strachu napędzić?

Tak pęsnie rozmyślał „Krasula”, który w domu niezwykły był chodzić nawet do ciemnego pokoju.

Ale rozkaz — rzecz święta. Chłopców podzielono. Partji atakującej dano, jako broń palną — latarki. Oślepienie latarką elektryczną i okrzyk hurra! równały się zwyciężeniu przeciwnika. Zato posługiwanie się latarkami dla własnej wygod, czy spokoju było surowo zakazane.

Chłopcy ruszyli na stanowiska pełni pozorów animuszu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Krasula został przydzielony panu inspektorowi, jako łącznikowy. Szedł więc rażno, pełen dobrych nadziei, na końcu oddziału, aż wszystkich pochłonęła matowa czerń lasu. Jak na złość, księżyc-sprzymierzeniec zaszył się gdzieś za chmury i pozaciągał dla kawału nawet gwiazdy. Las, który początkowo stał nieruchomo, ożył nagle pod podmuchem wiatru i zagadał.

— Drozd, nie ćwirkaj tak głośno — zaszeptał ostrzegawczo Smykał, słysząc Drozdowe szczekanie zębami.

— Kiedy nie lubię wlaźć w taki atrament.

— Dyszel, a nie zostawiaj tak nóg za sobą. Tobie to i grochowi przywiązywać nie trzeba i tak na miłą cię posłyszają.

— Sowa, a ty widzisz tam na lewo? Czy to nie straża zasadzki, a możeby zaświecić im latarką?

— Zaświeć pułaczowi w ślepie; przecież to pierzba stoi, osłe tchórzem podszyty!

Zadyszany oddechami i tłumionym pogwarem rozbrzmiewał lasek wokoło osiedla. Wyczuwało się wielkie napięcie nerwów wśród gromadki, której posterunki poszczególne instruktor wśród ciemności rozróżniał znakomicie. Był wszędzie tam w pogotowiu, gdzie uważał, że może być potrzebny. W pewnym momencie polecił Krasuli zrekonoskowanie najbliższego wycinka. Krasula uszedł dwadzieścia kroków wgląd i wrócił pędem, cały zgrzany, z gorącym zapewnieniem, „że nikogo nie zobaczył”.

W tej samej chwili szereg okrzyków wzbił się w powietrze, a tuż obok czarność nocy przekroiły błyski latarek. To znowu „Stalowa Dłoń” odkryła zasadzkę, odnosząc nowe zwycięstwo nad plemieniem „Nieustraszonego Sępa”. I o dziwo, drzące łydki Krasuli nabrały nagle tężyzny, bo on właśnie należał do obozu „Stalowej Dłoni”.

Gdy po tygodniu rozłąki, który jakże prędko przeminał, mamy tuliły w swych objęciach powracających chłopaków, to nie wiedziały na razie, że każda z nich wita co najmniej bohatera!

Dopiero epopeje rycerskie, snute w domu, dopełniły swego zadania. W nich też „nocne tropy” urosły do bohaterских zapasów, pełnych nieustraszonej odwagi i szlachetnego poświęcenia. Nocne tropy rozciągające się w czarną noc od godziny 6-ej do 8-ej. Ale czyż pieśni Homera wolne były od podłoża fantazji, a czy przez to gorzej spełniły swe zadanie — zagrzewania rycerskiego ducha?

Małja Ankiemiczowa.

Nasz lekarz

O surowicach i szczepionkach

Szczepienia są metodą leczniczą nader starą, wyprzedziły o wieki odkrycie zarazków, gdyż np. w Indiach i Chinach na kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa znane były szczepienia przeciwko ospie. T. zw. „variolisatia“ Chińczyków polegała na szczepieniu osobnikom zdrowym wydzieliny, zawartej w pęcherzykach wykwitów ospy naturalnej tych ludzi, u których przebieg choroby był lekki. „Zaszczepiony“ zapadał na ospę, której przebieg był zupełnie łagodny, a jednocześnie człowiek, tak „szczepiony“, był zabezpieczony przed bardziej zjadliwymi typami ospy.

W r. 1796 lekarz angielski Jenner wykrył i opisał własności ochronne szczepień przeciwospowych, do których używał zarazków ospy krowiej (cow-pox). Metoda ta utrzymała się do dnia dzisiejszego. Zarazek ospowy dotąd nie został odkryty, przyjęto jedynie, że jest to zarazek przepuszczalny, t. j. tak drobny, że przy filtrowaniu nie zatrzymuje się nawet na specjalnych bakterjologicznych filtrach porcelanowych.

Prawdziwy rozwój szczepień ochronnych rozpoczyna się dopiero od czasów Pasteur'a, którego prace nad szczepionkami przeciw wścieklicznie (w 1886 r.), wąglikowi i t. d. zapoczątkowały nową erę w dziedzinie odkryć na polu bakterjologii.

Długim szeregiem snują się nazwiska wybitnych uczonych, którzy odznaczyli się wynalazkami na tem polu; wymienię tu tylko nazwisko takie jak Berhing, Frydmann, Vallée, Calmette (gruźlica), Koch; Ferran Haffkin (cholera), Gabryczewski (płonica) i wielu, wielu innych.

Obecnie szczepienia ochronne przeciwko schorzeniom zakaźnym tak ludzi, jak i zwierząt domowych, są potężną bronią w zwalczaniu chorób zakaźnych.

Z czasem zaczęto używać szczepionek nietylko w celach zapobiegawczych, lecz również leczniczych, co jest w pierwszym rzędzie zasługą uczonego Wright'a. Stosowanie szczepionek w celach leczniczych ma na celu złagodzenie i skrócenie przebiegu choroby samej, oraz zapobiega tak częstym przy schorzeniach zakaźnych — powikłaniom.

W celach leczniczych stosuje się obecnie szczepionki gronkowcowe, meningokokową (przy zapaleniach opon mózgowych najczęściej), prątka okrężnicy i t. p.

Przyrządzanie szczepionek odbywa się w pracowniach specjalnych, a metody, któremi się przytem posługują, są różne. Ogólnie przedstawia się to w sposób następujący: bakterje hoduje się na specjalnych podłożach płynnych lub stałych (buljon, agar, żelatyna i t. p.), a do przyrządzenia szczepionki bierze się szczepki zarazków t. zw. izolowane i to świeże. Pewne zarazki, nie dające się hodować na pożywkach sztucznych, hoduje się w ustroju zwierzęcym, tjako to: *zarazki wściekliczny — na królikach, zarazek ospy — na cielętach* i t. d. Pobrane szczepki bakteryj rozpuszcza

się w fizjologicznym roztworze soli. Zarazki, które w postaci szczepionek ochronnych wprowadza się do ustroju ludzkiego, muszą być tak osłabione, aby nie wywołały objawów chorobowych, a jedynie doprowadziły do wytworzenia się w surowicy krwi szczepionego ciała ochronnych. Celem osłabienia jadowitości zarazków stosuje się u jednych często powtarzane przeszczepianie z jednego podłoża na drugi, inne zaś, nadmiernie zjadliwe, muszą być zabite przed wprowadzeniem do ustroju ludzkiego, — gdyż jedynie zabite tracą jadowitość — co bynajmniej nie przeszkadza wytworzeniu się w organizmie szczepionym ciała ochronnych, a jest to właściwym celem szczepienia. Zarazki zabija się przez ogrzanie do 60° C., lub też przy pomocy środków chemicznych.

W pewnych przypadkach zakażeń często lepsze wyniki lecznicze (a nie ochronne) uzyskuje się, stosując t. zw. *autoszczepionki*. Są one przygotowane z zarazków, wyhodowanych z wydzielin lub z krwi chorego, następnie odpowiednio przeszczepiane lub zabite i wprowadzone do ustroju tegoż samego chorego, jak już wyżej wzmiankowano, dla celów leczniczych, co jednocześnie zapobiega nawrotom tej samej choroby.

Odporność, powstająca po szczepieniu występuje dopiero po kilku lub kilkunastu dniach, a trwa, zależnie od rodzaju szczepionki, od roku do kilku lat. Niektóre szczepienia muszą być powtarzane kilkakrotnie — przeważnie 3 razy, inne zaś, (jak np. szczepienia przeciwko wścieklicznie 20 razy, to jest w ciągu dni 20-tu codzień i to bez przerwy.

Działanie szczepionek polega na powstawaniu w organizmie, pod wpływem wprowadzonych zarazków, ciała ochronnych: nazywa się to *działaniem swoistym*. Działanie t. zw. nieswoiste, to objawy powstające pod wpływem wprowadzonego obcego białka:

1) miejscowe w postaci zaczerwienienia, bólesności nieznacznej i obrzęku w miejscu zastrzyku; objawy te trwają od chwili szczepienia do 24 lub najdalej 48 godzin;

2) ogólne objawy w postaci bólów głowy i podwyższenia ciepłoty ciała, co jednak rzadko zachodzi, i jest wynikiem indywidualnego usposobienia człowieka szczepionego.

Szczepionki bywają przygotowane albo z jednego rodzaju zarazków, albo też z kilku ich rodzajów. Te ostatnie jak np. *szczepionka „Tetra“*, wprowadzona w czasie ostatniej wojny w armji angielskiej przez Castellani'ego, uodparnia jednocześnie przeciw *durowi brzuszному, cholercze i paradurowi, szczepionka „Sexta“* stosowana również w szczepieniach masowych, uodparnia przeciw *durowi brzuszному, paradurowi, cholercze, czerwonce i paraczerwonce*.

Szczepionki przeważnie wprowadza się do ustroju przy pomocy *zastrzyków*, są jednak metody bezpośredniego działania szczepionek na miejsca schorzałe. Specjalne badania w tej dziedzinie przeprowadzał Besredka, który wykazał, że np. w zakażeniach prze-

wodu pokarmowego (dur, cholera, czerwonka), odporność umiejscowiona jest w komórkach błony śluzowej jelita, na tej też podstawie wprowadził *szczepienia doustne*.

Szczepionki Besredki przygotowane są z zabitych ciepłem i wysuszonych ciał bakteryjnych; do urobienia pigulek dodaje się żółci, przygotowującej błonę śluzową jelit do łatwiejszego wchłaniania szczepionki. Szczepienie to jest nader proste, gdyż wystarcza w ciągu 4 dni naczczo spożyć jedną pigułkę danej szczepionki, by zyskać uodpornienie, a przekroczenie dawki 4 pigulek nie ma szkodliwego działania. Stosowanie szczepionek Besredki w czasie istniejącej już choroby, a więc w celach leczniczych, wywiera wpływ dodatni na jej przebieg, polepszając ogólny stan chorego.

Zasługą Besredki jest również leczenie miejscowe różnych schorzeń, powstałych na tle zakażenia przy pomocy t. zw. *przesączóm* otrzymywanych z filtrowania hodowli zarazków na pożywcę płynnej. Przesącza te nie mają własności jednolitych, natomiast zawierają składnik nazwany przez Besredkę „antivirus“, mający wybitny wpływ leczniczy. *Antivirus Besredki* stosowany bywa albo w postaci *przemysłań*, albo *okładów* lub *dotatku do maści* w przypadkach rozlanych *zapaleń ropnych skóry, przy zapaleniach błon śluzowych*, jako to *katarze nosa, zapaleniu dziąseł* itp.

Pewne rodzaje zarazków wywołują stan chorobowy nie przez sam swój mikroorganizm, lecz przez wydzielane przez nie jady, t. z. *toksyny*. Z powszechnie znanych schorzeń *blonica* jest właśnie wywołana przez toksyny, wydzielane przez zarazki blonicy. Powodowało to znaczne trudności w otrzymaniu odpowiedniej szczepionki ochronnej. Dopiero w 1923 r. Ramon z Instytutu Pasteur'a otrzymał toksynę bloniczną, pozbawioną jadowitości, a jednocześnie posiadającą intensywne własności uodporniające. Co się tyczy szczepień ochronnych przeciwko *blonicy i plonicy*, to poprzedzać je winny próby, wykazujące, czy dany osobnik jest lub też nie jest wrażliwy na daną chorobę. *Odczynny próbne* bywają wykonywane na skórze rąk, są zabiegiem niebolesnym i zupełnie nieszkodliwym.

Trudno w ramach niniejszego artykułu wyczerpać wszystkie niezmiernie interesujące dane, dotyczące różnych szczepień, to też jedynie sprawę *szczepień ochronnych przeciwgruźliczych* omówimy nieco szerzej.

Od czasu, gdy Robert Koch wykrył zarazek gruźlicy, walka z tą największą klęską społeczną ludzkości weszła na właściwe tory. Jedne za drugimi ogłaszano prace o systemach leczenia i zapobiegania gruźlicy, jednakże wyniki pozytywne podejmowanych prób były niewystarczające. Dopiero Calmette i Guérin po długotrwałych próbach, zdołali wyhodować szczep zarazków gruźliczych typu bydłęcego, który został pozbawiony własności jadowitych dla organizmu ludzkiego, zachowując jednak własności wytwarzania w organizmie odporności przeciw gruźlicy. Po odpowiednich próbach, przeprowadzanych na zwierzętach, zaczęli uczeni francuscy stosować swoją szczepionkę w celach uodpornienia noworodków, jako tych

osobników ludzkich, których zakażenie gruźlicze jeszcze dotknąć nie mogło.

Szczepionkę Calmette'a t. zw. „B. C. G.“ (bilibi Calmette-Guérin) podaje się niemowlętom doustnie w postaci płynnej 3—5 i 7 dnia po urodzeniu (ewentualnie 5—7 i 9 dnia). Noworodek musi koniecznie spożyć trzy dawki, gdyż mniejsza ilość nie wywołuje uodpornienia. Szczepienie to, nie powodujące zresztą ani zaburzeń trawiennych, ani innych niedomagań, stosowane być powinno zwłaszcza wobec tych noworodków, które w otoczeniu swem mają osoby cierpiące na gruźlicę (rodzice, domownicy). Po szczepieniu szczepionką „B. C. G.“, jak zresztą przy każdym szczepieniu, nie od razu występuje uodpornienie — a czas potrzebny do jego wytworzenia wynosi 4 tygodnie, to też podobnie, jak bezpośrednio po urodzeniu tak i w okresie czterotygodniowym po szczepieniu, niemowlę musi być *ściśle odizolowane od osób chorych na gruźlicę* — choćby to była nawet matka dziecka.

Wszelkich danych o szczepieniu „B. C. G.“ udzielają poradnie przeciwgruźlicze, kliniki dla dzieci, zakłady położnicze i t. p.

W Polsce szczepienia Calmette'a stosowane są od 1926 r., ogółem zaszczepiono 20.000 noworodków (we Francji dotychczas ponad 800.000!) i to z bardzo dobrymi wynikami. Ostatnio rozpoczęto we Francji próby szczepienia osób dorosłych szczepionką przeciwgruźliczą „B. C. G.“, ale tylko w tych przypadkach gdy: 1) dokładne badania kliniczne i 2) dwukrotnie w ciągu tygodnia wykonana próba skórna Pirquet'a wykażą, że dana osoba nie jest zakażona gruźlicą. Szczepienie, podobnie jak u noworodków, wykonane zostaje naczczo drogą doustną, a zrozumiałe jest samo przez się, że szczepiony osobnik dorosły również unikać musi w ciągu 4 tygodni od chwili szczepienia — zetknięcia z osobami gruźliczymi.

Surowice stosowane do celów leczniczych w przypadkach chorób zakaźnych, są to surowice zwierząt uodpornionych przez wprowadzenie do ich organizmu szczepionek odpowiednich, a więc z zarazków żywych, a osłabionych co do jadowitości, zarazków zabitych lub ich toksyn. W ustroju szczepionego zwierzęcia pozostają odpowiednie przeciwciała ochronne. Do produkcji surowic nadają się najlepiej konie, gdyż są one czule tak na działanie prawie wszystkich znanych zarazków wywołujących u ludzi choroby zakaźne, jak i na działanie jądów bakteryjnych czyli toksyn, produkować więc można z koni surowice przeciwbakteryjne i przeciwtoksyczne.

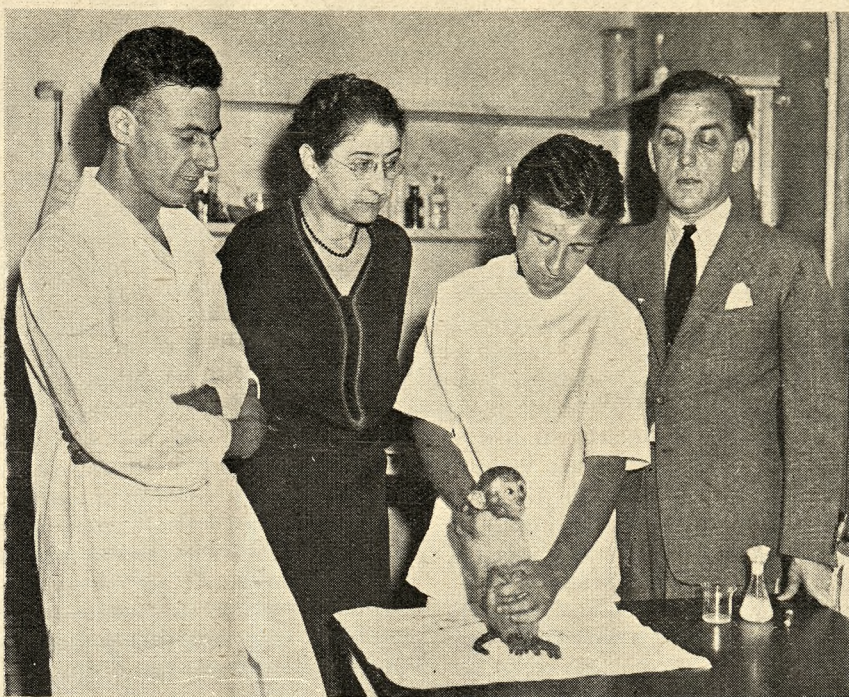
Toksyny wytwarzają między innymi prątki blonicy, laseczniki tężca i jadu kielbasianego i t. d.

Surowica krwi konia uodpornionego np. toksyną bloniczną ma wybitny wpływ leczniczy w przebiegu blonicy, gdyż zawiera ona znaczną ilość przeciwciał do walki z zarazkami i toksynami — tak, że organizm człowieka chorego nie przyjmuje udziału w ich wytwarzaniu, a dostaje w zastrzyku niejako cały zapas przeciwciał już gotowych do walki z chorobą. Okres uodporniania konia trwa kilka tygodni, a niekiedy i dłużej. Uodpornienie wykonuje się zastrzykami podskórnymi, domięśniowymi lub dożylnymi, zależnie od

rodzaju zarazków lub toksyn. Po utoczeniu krwi uodpornionego konia i wydzieleniu z niej surowicy, oczyszcza się ją za pomocą różnych metod, a przed wypuszczeniem w obieg bada się siłę i jadowitość surowicy i miareczkuje. Siłę surowicy oznacza się albo na zwierzętach laboratoryjnych (myszy, króle) albo „in vitro“, to jest określając przeciwciała w próbówce specjalną metodą. Działanie surowicy jest tem skuteczniejsze, im siła jest większa, a również od dawki, od czasu i sposobu wprowadzenia jej do organizmu.

Surowice muszą być stosowane jaknajwcześniej (np. surowica błonnicza stosowana w 1 dniu choroby daje 100% wyleczenia, a w 4 dniu choroby już tylko 50%! Surowica, zastrzyknięta podskórnie, wchłania się dopiero w 24 godz., a stosowana dożylnie 10 razy szybciej, działa więc o wiele prędzej i zwykle dożylnie zastrzyki surowic stosuje się w przypadkach bardzo zjadliwego typu choroby, lub gdy zastrzyk stosuje się po upływie kilku dni od rozpoczęcia choroby.

Surowice, poza wybitnym wpływem leczniczym, mają w pewnym stopniu również własności uodparniające, jednak uodpornienie trwa tylko 2—3 tygodni (uodpornienie szczepionką ponad rok!) wobec czego bywają stosowane jedynie w wyjątkowych przypadkach.



EKSPERYMENT W DZIEDZINIE SZCZEPIEN OCHRONNYCH.

Dwaj amerykańscy lekarze z departamentu zdrowia w N. Yorku eksperymentowali nową szczepionkę przeciwko rozpowszechniającej się chorobie paraliżu dziecięcego.

Z lewej do prawej: Dr. Maurice Brodie, wynalazca nowej szczepionki, Dr. Josephine Neal, Angelo Campagna i Dr. Wirt Jakson.

Tak zwana „choroba posurowicza“, podobnie jak objawy uczulenia na surowicę (anafilaksja) zdarzają się rzadko (14% ludzi leczonych surowicami), podlegają im przeważnie albo astmatycy, albo osobnicy obciążeni skazą mysiękową — jest więc w pierwszym rzędzie kwestją usposobienia danego osobnika.

Objawy choroby surowiczej wy-

stępują w 4—10 dni po zastrzyku jako to pokrzywka, — rzadziej zaś obrzęk gruczołów i podwyższenie ciepłoty, w większości przypadków znikają po kilku dniach.

Wprowadzenie do lecznictwa surowic swoistych zawdzięczamy Behringowi, który w 1891 r. odkrył surowicę przeciwbłonniczą, oraz wynalazcy surowicy przeciwężcowej Japończykowi Kitasato.

Dr. J. E.

Co wpływa ujemnie na urodę w okresie dojrzewania

Ażeby utrzymać ciało nasze, a w szczególności cerę, w należytej kulturze, powinno się przestrzegać kardynalnych zasad higieny, która jest podstawą zdrowia i piękności. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że w codziennym kołowrotku naszych przyzwyczajzeń mamy cały szereg takich, które są wprost zabójczymi dla zachowania równowagi naszego zdrowia i piękności, a które z łatwością dadzą się usunąć, nawet gdyby były następstwem trybu naszego życia.

Myśl nasza kroczy ciągle naprzód, ciągle szuka nowych dróg prawdy, ciągle idzie w kierunku udoskonalenia i uszczęśliwienia ludzkości, lecz nie zawsze droga jej jest dobra. Zjawiają się ciągle jakieś broszury, traktujące jakoby naukowo o tem, czego należy przestrzegać

i czego unikać, by być piękną, a fascynujące tytuły wprost porwijają czytelniczki. W najlepszym wypadku treść nic nie daje, ale gorzej jest, gdy paczy niezbite zasady higieny. Jako przykład przytoczę pouczenie, jakie znajduje się nie w jednym w takich pseudo - naukowych „dzieł“, np. co do pozbycia się „pryszczycy“.

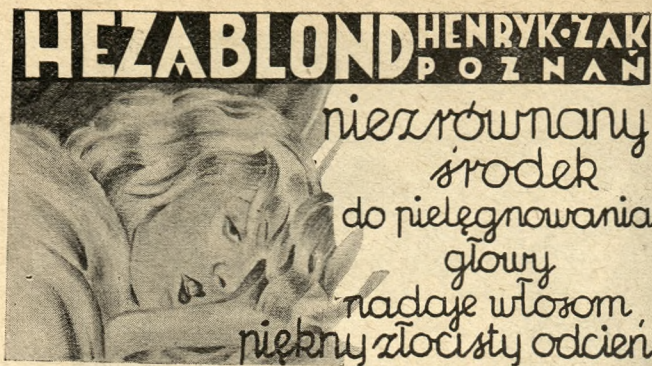
Autorowie występujący pod pseudonimami, a używający, niekiedy nawet tytułu doktora, (ale jakich nauk, niewiadomo), twierdzą, że jednym z zasadniczych warunków pozbycia się tego cierpienia jest zmiana warunków życia płciowego. W wielu wypadkach, szczególnie, gdy chodzi o młodzież męską, naraża się ją w ten sposób na chroniczne choroby weneryczne. Tu uświadomienie młodzieży, co do ży-

cia płciowego, odgrywa pierwszorzędną rolę.

A zakaz umieszczania na wystawach sklepowych książek o drastycznych tytułach powinien być już dawno mieć miejsce.

W wieku młodzieńczym prawidłowy rozwój fizyczny ma duży wpływ na przyszły wygląd zewnętrzny naszej skóry. Dzieci normalne i zdrowe mają wszelkie dane, by w wieku dojrzałym mieć cerę czerstwą, zdrową, a tem samem i ładną, natomiast, dzieci, oddające się nałogom młodzieńczym, po dojściu do pełnoletności bardzo prędko tracą świeżość cery, która staje się żółta, pozbawioną jędrności, co znów jest przyczyną szybko występujących zmarszczek.

Nienormalny tryb życia, jak np. późne kładzenie się spać, wczesne



przyzwyczajenie dziecka do alkoholu, potraw ostrych, spanie w nieprzewietrzanym pokoju, brak spacerów i gimnastyki, wszystko to w przyszłości odbije się na twarzy. Dlatego też od najwcześniejszych lat winno się przestrzegać zasad higieny, jako głównego warunku dobrej cery.

Również i *piękność włosów* wiele traci przy nieodpowiednim ich pielęgnowaniu w wieku dziecięcym i młodzieńczym. *Czesanie twardymi szczotkami, drażniącymi skórę, używanie cudzych szczotek i grzebieni, rzadkie i niedokładne mycie lub wysuszanie włosów*, wszystko to może mieć duży wpływ na porost i „gatunek” włosa. A w wielu wypadkach *przyczyna łysienia* u osobników lat przed 30 leży w *łupieżu*, trwającym od lat najmłodszych.

Matki nie zawsze orientują się, że łupież u dziecka jest taką samą chorobą, podlegającą obowiązkowemu usunięciu jak i inne niedomogi, w przeciwnym wypadku należy oczekiwać, jeżeli nie łysienia, to przynajmniej brzydkich włosów.

Prawie że nagminnie praktykowane przez dzieci obgryzanie paznokci powoduje ich zniekształcenie, zarówno pod względem formy jak i gładkości, a dłubanie w nosie rozszerza nozdrza. Również utrzymanie w należytej kulturze ucha jest kardynalną podstawą piękności muszli usznej, na co ma również wpływ uczesanie i nakrycie głowy, którym można zeszpeciwać nawet najładniejszą małżowinę uszną.

Mycie, polegające na przynajmniej dwukrotnym zabiegu dziennym w wodzie miękkiej i dokładnym wysuszeniu skóry ręcznikiem, są kardynalnymi podstawami gładkości cery. A i ręce przy braku kultury nie przestrzeganej już w wieku młodzieńczym, tracą szybko miękkość, aksamitność, stają się szorstkie i pomarszczone. Nie łatwo jest w przyszłości usunąć tę wadę. Nieodpowiednie odżywianie ma również duży wpływ na kształtowanie się zarówno całej postaci tak i skóry.

W wielu wypadkach dzieci opychamy byle czem, nie przestrzegając zasad djetetyki. A w rezultacie

otrzymujemy choroby kiszek i żołądka, które duży mają wpływ na wygląd skóry, a otłuszczenia i zniekształcenia całej figury często bywa następstwem nieracjonalnego odżywiania. Prawda, że w wielu wypadkach dzieci mają skłonności do tycia. Wówczas to tylko przestrzeganie zwykłych zasad djetetyki nie może być wystarczającym. Należy poddać dzieci ścisłemu reżymowi, który zapewni może dobrą przemianę materji, a temsamem normalny rozwój. Głodzić dziecka nie należy, ale racjonalnie odżywiać.

Buciki od lat najwcześniejszych powinny być również przedmiotem czujności i starannego doboru. *Niski obcas i wygodny krój*, oto podstawa ładnej nogi w przyszłości. Noga powinna się rozwijać normalnie.

Przy normalnej stopie należy tylko dbać o to, by jej nie spacyć. A tak łatwo o zniekształcenie palców, już nie mówiąc o stwardnieniach, które dokuczają i szpecą, a są tak trudne do usunięcia.

Oczywiście *nienormalne stapanie, płaska stopa* i t. p., wymagają specjalnej opieki, nieraz polegającej na stosowaniu specjalnych podkładek albo nawet budowy specjalnego obuwia.

Co do zębów, po za myciem ich szczoteczką przynajmniej 2 razy dziennie, należy obowiązkowo 2 razy do roku pokazywać je lekarzowi dentyście. *Dr. Med. Zofja Rostkowska.*

U wioślarek

Dnia 11 b. m. odbyło się otwarcie nowego lokalu klubowego Warszawskiego Klubu Wioślarek przy ul. Krakowskie - Przedmieście 58. Otwarcia dokonała Prezeska Klubu p. dr. Z. Zabawska-Domosławska w obecności zgromadzonych członkiń. Nowy lokal po całkowitym i gruntownym remoncie został dostosowany do sportowych i towarzyskich potrzeb członkiń. Duża sala gimnastyczna z oknami górnymi pozwala na racjonalne przewietrzanie podczas ćwiczeń. W pokoju narciarskim, wśród sprzętu narciarskiego urzęduje Sekcja Narciarska Warszawskiego Klubu Wioślarek, mogąca swobodnie przygotować liczne kursy i wycieczki w góry na śnieg. Pokój klubowy skupia członkinie przy piśmiskach, rozmowie lub zabawach. W pokoju lekarskim odbywają się stałe badania członkiń najnowszymi przyrządami lekarskimi, aby umożliwić członkiniom korzystanie ze sportu odpowiednio do potrzeb ich organizmu. Pokój zebrań Zarządu i Komisyj, kancelarja, szatnia i umywalnia, gdzie wkrótce zostaną zainstalowane natryski, dopełniają całości lokalu klubowego. Po przemówieniu Prezeski i obejrzeniu lokalu przez członkinie zaczęła się wesoła zabawa dla zainaugurowania nowego lokalu Warszawskiego Klubu Wioślarek.

Autorytet w sprawach reklamowych

Rudolf Seyffert („Allgemeine Werbelehre“ str. 390) stwierdza, że najintensywniej czytane są ogłoszenia w prowincjonalnych dziennikach informacyjnych. ∴ ∴ ∴

W budżecie ogłoszeniowym firm współpracujących z prowincją nie może braknąć wielkiego, ilustrowanego dziennika

„EXPRESS LUBELSKI I WOŁYŃSKI“

XII-ty rok wydawnictwa

Najwyższy nakład na terenie Wojew. Lubelskiego i Wołyńskiego

Blisze informacje, egzemplarze okazowe, prospekty, kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referencje dotychczasowych inserentów, odwiedziny akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: Lublin, Kościuszki 8, tel. 360.
Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.

Z teatrów

„Madame Sans - Gène“ Sardou w teatrze Aktora.

Teatr Aktora słusznie tak jest nazwany. Aktor (w liczbie pojedynczej), nie zespół, jest tam słońcem, około którego obraca się system planetarny teatru. „Madame Sans - Gène“ była popisem dwojga artystów: Jaracza w roli Napoleona i Zimińskiej w roli księżny - praczki. Reszta aktorów stanowiła tło, w ogólnych zarysach poprawne, w pewnych jednak momentach mocno „puszczone“. (Zupełnie zamazana dykcja w scenach zespołowych pierwszego aktu).

Była jeszcze jedna rzecz, osłabiająca wrażenie całości: szczupłość i płytkość sceny, która nie pozwoliła na wydobycie splendoru dworskich scen i perspektywy wnętrza. Tego rodzaju inscenizacje anegdot historycznych jak majstersztyk Sardou, wymagają oprawy. To nie Szekspir, którego można grać w kotarach, a wówczas, kto wie, czy nie spotęguje się jeszcze bardziej genialny rzut jego słowa.

Ale poza temi zastrzeżeniami, trzeba przyznać, że myśl wznowienia tego rozkosznego sztuczka była nad wszelki wyraz szczęśliwa. Człowiek dzisiejszy idzie do teatru, żeby zapomnieć o swoich troskach i kłopotach, a to zapomnienie daje mu w zupełności dowcipna i emocjonująca bujda o napoleońskich „nowych panach“.

Sardou, ten świetny majster teatru i doskonały znawca psychologii widza, tak sprytnie poustawiał figury i splótł sytuacje, że nieprawdopodobne wydaje się nam prawdziwym. I dopiero po wyjściu z teatru i po ochłonięciu ze śmiechu, który trząsał nami aż do łez, wraca przytomność i każe nam nieco sceptycznie spojrzeć na brak znajomości elementarnych zasad dobrego wychowania u bylejakiej praczki, która nie zdążyła nauczyć się ani dworskich ukłonów, ani noszenia sukni z trenem. A co dziwniejsza, że ten ordynarny choć prawy tuman w spódnicy, w ciągu jednego wieczoru zmienia się w czarującą i subtelną kobietę, która z Napoleonem prowadzi dialog jak précieuse'a, a kombinuje intrygi dworskie z Fouché'm, jak drugi Metternich.

Ale ta irracjonalność psychologiczna, którą demaskujemy na dystans, doskonale smakuje i świetnie się trawi w teatrze pod sugestją galopującej intrygi. Ach! in-



Scena z „Meczu Małżeńskiego“ w Ateneum.

tryga! ta dobra starszka-niania, kołysząca do rozkosznych snów dorosłe dzieci, zmęczone szarżyzną życia. Jak dobrze chociaż przez jeden wieczór spocząć z głową na jej kolanach...

Dodajmy, że wiek nie stępił celności dowcipów Sardou. Ileż analogji do obecnych stosunków politycznych w Europie budzi w nas to pierwsze pokolenie w kulturze, które dorwało się do władzy. Widz cieszy się taką traspozycją komizmu na żywą aktualność, takim „humorem mimowoli“ więcej, niż gdyby zrodził go świadomy zamiar autora.

A teraz słówko o parze wirtuozów. Otóż Zimińska była jeszcze jedną świetną wersją Zimińskiej, ale nie była „Madame Sans Gène“ Wiktoryna Sardou, „Madame Sans-Gène“ naszych tradycji. Najprzód warunki zewnętrzne. Katarzynę Hübscher, krzopką alzatkę, naprzód praczkę, potem markietankę, wreszcie żonę marszałka Francji i księżną Gdańską, widzi się, jako tęgą, rosłą, — jasnowłosą raczej, urodziwą kobietę o bujnych choć zwiędłych kształtach, mogących zaimponować nawet Napoleonowi, który, jak wszyscy mężczyźni małego wzrostu gustował w wysokich kobietach. Tymczasem Zimińska reprezentuje zewnętrznie raczej typ chuderlawego, sprytnego, łobuzerskiego i inteligentnego dziecka ulicy, niż zamaszystej kobieciny z paryskiego ludu. W interpretacji roli poszła po linii najmniejszego oporu (może to zresztą jest w danym wypadku jedyna linja możliwa). Nie komplikując irracjonalnej psychiki Kasi, dała zamiast jednej — trzy postacie. W pierwszym akcie pełną wdzięku i temperamentu, prostą i prawą dziewczynę, w drugim tlo- moka i koczkodana, irytującego swoją kan-

ciatowatością i tępotą, w trzecim — damę o przytłumionych akcentach lirycznych.

Żywy jest widać w Polsce czar napoleońskiej legendy, skoro samo ukazanie się Jaracza w roli Cesarza wywołało burzę oklasków. Bito brawo nie tylko łudzącej masce i sylwecie, ale i nieśmiertelnemu złudzeniu. Świetny artysta zrobił wyłom w swoich scenicznych predyspozycjach. Był uosobieniem woli, energii, stanowczości, dumy, kryjącej wewnętrzny, serdeczny niepokój. Nie mógł jednak przełamać pewnej fizycznej cechy: jego głos nie był głosem Napoleona, na którego wezwanie szły w ogień tysiące...

Trafnie rolę i maskę Fouché'go ujął Łuszczewski. Natomiast Daniłowicz w epizodycznej roli szewca przypominał niepotrzebnie upiornego krawca z „Hanusi“ Hauptmanna.

„Mecz Małżeński“ Lichtenbergera w Ateneum.

Znam pewną młodą mężatkę, która ma kochliwego męża. Sprytna kobietka nigdy nie robi mu scen zazdrości. Skoro się dowie o nowym febliku swego małżonka, natychmiast zaprzyjaźnia się z damą jego serca, zaprasza ją do siebie, absorbuje ją do tego stopnia, że ciągle są we troje i randki stają się niemożliwością. Mało tego, przy każdej sposobności zachwala ją mężowi, wynosząc pod niebiosa najbardziej ujemne lub pospolite cechy jej urody i charakteru. Efekt niezawodny. Po paru tygodniach takiego reżimu najmniej wybredny mężczyzna ma dosyć tego aż do młodości zachwalanego towaru.

Ten nieopotentowany system przyszedł mi na myśl na przedstawieniu „Meczu małżeńskiego“. Tylko że tu gra idzie na ostre. Kochająca żona zmiennego literata chce nie tylko zatrzymać męża dla siebie, ale i dać mu dotkliwą nauczkę. Niech szelma popamięta! Więc sprowadza do domu maszynistkę, z którą mąż ma zamiar uciąć romansik, a kiedy ten mąż już wytrzymać nie może ciągłej obecności nudnej i tępej dziewczyny, żona udaje, że dom opuszcza dla rozkochanego w niej „bramkarza“, który odgrywa w danym wypadku rolę... czerwonej plachty na byka. Manewr się udał, tembardziej, że maszynistką, znudzona kapryśnymi intelektualistami, zdradziła go z jego własnym szoferem.

„Mecz małżeński“ kończy się wygraną

Jaracz i Zimińska w „Madame Sans - Gène“.



pani, która zatrzymuje przy sobie skruszonego małżonka. Szkoda nam tylko zacnego bramkarza, który jeden w tym kabotyńskim towarzystwie kocha poprostu, szczerze i bez wykrętów i poświęca się bezinteresownie, jak wzór gentlemana.

Sztuka była wyreżyserowana pierwszorzędnie przez Biegańskiego i dobrze zagrała. Charakterystyczną rolę leniwej masyzynistki, udającej wampa, ze spokojnym roślinnym komizmem zagrała Parusiewiczówna. Dobry był w swym naiwnym prostactwie bramkarz. Całość ma dużo humoru i kameralnego wdzięku.

S. P. O.

Kącik radjowy

CHOPIN.

Był tutaj sam. Zupełnie sam.

Wypluło go miasto rozmachem bezlitosnych płuc, wyrzuciło, jako resztkę, odpadek — wywołony nocą w cuchnących wozach daleko za rogatki.

A potem chwycił go wiatr i poniosł jeszcze dalej, aż gdzieś na usypiska tej lekkiej przasnej ziemi mazowieckiej, aż tu, w te rozpadliny małej wsi polskiej, że zatrzymał się na nich znużony i rozmiękły, sterrany i nad miarę uciszony.

Zatrzymał się i błędził tu bezładu i składu, bez przyczyny, roztrwaniał ostatek myśli po ugorach i nieużytkach.

Ścierniska stały już puste, pokryte rudawo-siwym zarostem i niedostrzegalna, przezroczyista niemal mgła zbliżającej się jesieni wikała się ponad tem ryżowiskiem, ponad chruścieńcami i okapami dachów, ponad wierzbami rozłupanemi wiatrem i ponad krzyżami rozdrożniami.

Na tej małej, znikomo - żadnej przestrzeni zamknęło się jego życie przybłądy, zawisło bezprzyczynowo wśród tych ogrzanych ostatkiem słońca zakresach.

Jeszcze tylko malwy mówiły coś pastelowo o minionych upałach i zatrzymywały gestem miłości macierzyńskiej długie, poczęte z nieskończoności nitki babiego lata, lecz wokoło była już tęsknica i zagadka zbliżającego się snu.

Patrzył na to wszystko oczami smutnego dziecka, co nie zna jeszcze tajemnic narodzin śmierci i patrzy na tę dojrzałość czerwono - złotą, jak patrzyłoby na brodę starca, który zawsze tym starcem zostawał i nigdy innym nie był. Patrzył na tę jesień najprościej i najciszej.

W taki o czas dogoniła go melodia. Znikąd zdawałoby się. Zdaleka. Przyszła jako naturalne dopełnienie tego pół-słońca, pół-cienia, przychodziła bez przyczyny i bez przyczyny odchodziła. Wiła się wokół dworu białego w ziemię, rozplaszczoną, spływała po liściach i krętych łągach dzikiego wina, czerwonego już, przesyconego sokami.

Okna były otwarte. Siadł opodal i słuchał. A była już noc. Pod świeczkami gwiazd małych i migotliwych przesuwwały się bezszelestnie białe, obrzędowe kapy obłoczków, drzewa stały atramentowo-czarne, nawilgłe tumanem wieczornym, zasłuchane.

Nocturn Chopina. Znał go z tamtych czasów dalekich i tęskniących...

Gdy jednak rozplątał się już w tym mroku i zasluchaniu, starał się na chwilę zejść w olbrzymie, straszliwe szeregi uporządkowanych faktów, z których każdy logiczną i przyziemną posiada przyczynę. Szukał przyczyn tej melodii jedynej, owijającej go najsmutniejszym uściskiem. Słuchał.

... Mazurek.

Potrafił go nawet nazwać a-moll z op. 17-go. Skąd się wzięła u niego ta pamięć? Lecz kto gra, gdzie mieszczą się te zaczerpnięte dźwięki? I dopiero teraz, nagle przypomniał sobie wszystko.

... Środa wieczór... recital Chopinowski... Warszawa... Radjo...

Wiedział o tem i dawniej, lecz nie słuchał nigdy. Zbyt był daleki od tych tam spraw. Dopiero dzisiaj... Dopiero dzisiaj uprzytomił sobie, że co tydzień w tym dniu oznaczonym, kiedy milkną już wszystkie hałasy, kiedy uciszy się serce ziemi i otworzy na wszelką harmonję płynącą, wtedy rozpoczyna się owe tajemnicze misterjum, ów obrzęd przez Niego samego ustanowiony, to on sam gra przez palce innych, to On sam rozbrzmiewa nad całą tą ziemią mazowiecką ukochaną, po wszystkich jej krańcach.

Chopin...

Wspomnienia pośmiertne

Ś. P. MARJA Z CHOMENTOWSKICH BALIŃSKA.

W pierwszej połowie listopada zmarła ś. p. Marja z Chomentowskich Balińska, żona senatora Ignacego Balińskiego, znanego działacza społecznego i długoletniego prezesa Rady Miejskiej w Warszawie, matka Stanisława Balińskiego, znanego dyplomaty i poety, oraz dwu tragicznie zmarłych synów, z których jeden zginął przed paru laty wraz z młodą małżonką w katastrofie samochodowej, a drugi, inżynier-konstruktor, ś. p. Kazimierz Baliński zginął śmiercią lotnika w Hiszpanji podczas tegorocznego Challenge'u, odznaczony po śmierci z okazji Święta Niepodległości złotym Krzyżem Zasługi orderu Polonia Restituta.

Ś. p. Marja Balińska była wnuczką Antoniego Edwarda Odyńca i siostrzenicą wybitnej działaczki w okresie powstania 1863 roku. Aleksandry z Chomentowskich Borkowskiej. Dom państwa Balińskich skupiał elitę intelektualno - towarzyską Warszawy w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia, utrzymując stały kontakt i przyjaźń serdeczną z Marją Górecką, córką Adama Mickiewicza, z Henrykiem Sienkiewiczem i Jadwigą Łuszczewską (Deotymą). Ś. p. Marja Balińska odznaczała się osobistymi zaletami serca i charakteru, reprezentując zaoczny typ kobiety polskiej odchodzącego pokolenia.

ZGON DZIAŁACZKI OŚWIATOWEJ
Ś. P. CECYLJI ŚNIEGOCKIEJ.

Zmarła w Warszawie przy ul. Chmielnej Nr. 64, ś. p. Cecylja Śniegocka. Staruszka 72-letnia, dawniej, za czasów rosyjskich znana była szeroko ze swych prac nad młodzieżą. W tajnych szkołkach gromadziła do 2000 dzieci rocznie, pod bokiem policji i żandarmerji rosyjskiej. Prace te pro-

wadziła ofiarnie przez lat 12 do chwili kiedy szkołki jej przejęła legalna już Macierz Szkolna.

Tę ofiarną działaczkę znały tysiące dzieci warszawskich i tysiące dorosłych.

W niebezpiecznej pracy konspiracyjnej nie traciła nigdy ani odwagi, ani humoru i porywała innych, wciągając ich w służbę dla Sprawy.

Zmarła w tem samym mieszkaniu, które przez wiele lat było ogniskiem tajnych prac oświatowych.

Kobieta w świecie i w domu

UDEKOROWANIE POETKI.

W dniu 12 listopada, wśród innych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. Minister Beck udekorował Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta laureatkę wileńską p. Kazimierę Hłakowiczównę za zasługi w dziedzinie propagandy zagranicznej. P. Hłakowiczówna od roku 1918 aż do chwili obecnej pozostaje na służbie państwowej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Od maja 1926 r. jest delegowana do Ministerstwa Spraw Wojskowych, jako Sekretarz Osobisty Pana Ministra. Posiada rangę radcy ministerjalnego.

O KOBIECIE FRANCUSKIEJ.

Odczyt zasłużonej działaczki francuskiej.

W sali Resursy Obywatelskiej odbył się pod protektoratem pani Aleksandry Piłsudskiej odczyt pani Marcel Héraud, przewodniczącej honorowej żeńskiego Fidacu francuskiego p. t. „O kobiecie francuskiej“.

Na odczycie była obecna p. Aleksandra Piłsudska, przedstawicielka Rządu polskiego Fidacu, oraz przedstawicielki związków i organizacji kobiecych.

P. Aleksandra Piłsudska w serdecznych słowach powitała prelegentkę i oddała głos generałowej Malleterre, która w krótkim przemówieniu scharakteryzowała działalność żeńskich organizacji Fidacu w Europie, poczem odbył się odczyt p. M. Héraud, który publiczność nagrodziła gorącymi oklaskami.

OBCHÓD 11 LIST. STRAŻY PRZEDNIEJ.

Dn. 10.XI w gimnazjum im. Klementyny Hoffmanowej odbył się poranek poświęcony legjonom polskim, urządzony staraniem Straży Przedniej.

Słowo wstępne wygłosiła p. Thuguttówna, nawiązując do walk o wolność 31 i 63 roku, prolog „Lilli Wenedy“ odegrały uczennice gimnazjum, wywiązując się świetnie z trudnego zadania, wspomnienie o małych bohaterach obrony Lwowa, o pełnem poświęceniu „wojsku kartoflowem“ pełniącym dzielnie niebezpieczną służbę odczytała p. Janina Łada-Walicka, uczestniczka walk w obronie Lwowa. Inscenizacje piosenek legjonowych (Białe Róże i Przybyli ułani), odtworzone przez młode aktorki w doskonałych kostjumach dziarskich legjonistów, wreszcie chóry i deklamacje wypełniły program, gorąco oklaskiwany przez młode audytorjum.

Przeciw bólom
artretycznym
i reumatycznym
BALSAM
BENGALSKI
KARPIŃSKIEGO

Cena: zł. 2.30

BOHATERKA W KORNECIE SZARYTKI.

Dzięki przytomności umysłu i ofiarności szarytki uniknął szpital w St. Johns Wood w Anglii nieszczęścia, któreby pociągnęło za sobą wielką ilość ofiar. Jej tylko należy zawdzięczać, że pełen chorych szpital nie stał się pastwą ognia.

W wielkiej sali operacyjnej wzmiankowanego szpitala zabierano się właśnie do ciężkiej operacji. Liczne naczynia z eterem i innymi łatwopalnymi materiałami stały przygotowane, a wszędzie porozwieszane były sterylizowane prześcieradła i już młodzi asystenci wchodzili na salę, gdy jedna z szarytek upuściła naczynie z denaturatem, który rozlał się po całej podłodze. Po chwili od zapalonego różka gazowego zapalił się denaturat i cała sala stanęła w płomieniach. Sprawczyńi wybuchu, na której już suknia się paliła, podniosła krzyk i biegła w stronę naczyń z eterem. Powstała panika. Wszyscy rzucili się do ucieczki. Jedyne siostra Gilbert zachowała przytomność umysłu. Schwyciwszy kilka prześcieradeł, pobiegła ku palącej się siostrze, obaliła ją na ziemię i prześcieradłami zdusiła palące się na niej ubranie. Obaleniem płonącej siostry zapobiegło temu, że ta nie wpadła na naczynia z wybuchającym eterem. Wreszcie nadbiegła służba i gaśnicami stłumiła dopalający się denaturat.

Dopiero po ugaszeniu pożaru chorzy w liczbie 150 dowiedzieli się o niebezpieczeństwie, które im groziło. Siostrze Gilbert szpital zawdzięcza egzystencję, a chorzy i personel — życie, w najlepszym razie uniknięcie ciężkiego kalectwa.

**„JAK KOCHANO PRZED STU LATY“
PO CZESKU.**

Czasopismo kobiece „Živena“, wychodzące w Turczańskim św. Marcinie (Słowacja), drukuje w odcinkach powieść Giorgii Pisani „Jak kochano przed stu laty“.

Powieść ta w przekładzie P. Zuzanny Rabskiej, ukazała się kilka lat temu nakładem Tow. Wydawn. „Bluszcz“ w pięknym, bogato ilustrowanym wydaniu.

**DYPLOMATA JAPOŃSKI POD OPIEKĄ
MATKI.**

Młody dyplomata japoński, Katsube, pragnął ożenić się z młodą artystką angielską, miss Lilian Watson Groen. Dzień ślubu był już wyznaczony. Czekano jedynie na zezwolenie matki Katsube, mieszkającej w Tokjo. Prawo japońskie przewidywało bowiem, że dzieci pozostające pod o-

pieką swych rodziców do 30-tu lat i że bez zezwolenia ojca lub matki nie mają prawa zawierać związków małżeńskich do osiągnięcia wieku powyższego.

Nareszcie nadszedł długo oczekiwany list. Niestety list ten zawierał kategoryczny sprzeciw matki. Pani Katsube, uważa bowiem, że ślub Japończyka z Europejką jest sprzeczny z wszystkimi tradycjami japońskimi.

AMAZONKI POWIETRZA.

W Londynie powstał korpus amazonek lotniczek pod kierownictwem Miss Mary Allan, obejmujący 50 członkiń. Ze 100 kandydatek, które zgłosiły się do tej organizacji — 70 odpadło. Zadaniem pilotek angielskich ma być na wypadek wojny prowadzenie komunikacji lotniczej cywilnej, tak, aby wszyscy piloci — mężczyźni mogli oddać się wyłącznie lotnictwu wojskowemu. Poza tem pilotki mają kierować transportem ewentualnych rannych w samolotach sanitarnych.

**AMY JOHNSON-MOLLISON PREZY-
DENTKĄ ZWIĄZKU INŻYNIEREK AME-
RYKAŃSKICH.**

„Womens Engineering Society“ (Związek Kobiet Inżynierów) w Stanach Zjednoczonych obrał na swą prezeskę znaną lotniczkę Amy Johnson - Mollison, której rekordy na polu lotnictwa są powszechnie znane. Uzyskała ona przed kilkoma miesiącami dyplom inżyniera, studując budowę samolotów i wprowadzając liczne ulepszenia konstrukcyjne w tej dziedzinie. Związek Inżynierek w Ameryce został założony w r. 1919 przez Lady Parsons, która jako pierwsza kobieta była członkiem Towarzystwa budowy okrętów w Ameryce i wraz z Marszałkiem Fochem została mianowana członkiem honorowym instytucji „North - East - Coast“ inżynierów i budowniczych okrętów. Liczne kobiety, które piastowały po niej godność prezydentki Związku Inżynierek w Ameryce, wywiązywały się doskonale z swego zadania.

**PROPAGANDA LNU NA
PROWINCJI**

Akcja propagandowa na rzecz uprawy lnu, rozpoczęta wystawą w Warszawie w maju b. r. rozszerzyła się na prowincję. Powiat Samborski, jeden z południowych Rzplitej, posiada wiekową tradycję lniarską. Całe wsie trudnią się tkactwem i uprawą lnu, jak Strzałkowice, Dąbrówka i t. d. W samym mieście pozostały ślady starego przemysłu, jak ulica Tkacka, Blich. W dni targowe stopy lnianego samodziłał pokrywają rynek. Cena niska: 1 — 1,50 za metr. W ostatnim roku tu. Wydział Powiatowy ujął energicznie propagandę lnu w swoje ręce, a ośrodkiem tejże stało się tu. okr. Towarzystwo Rolnicze. Akcja O. T. R. została pojęta rzeczowo. Przyjęto specjalną instruktorkę lniarstwa, która urządza kursy, wykłady i wystawy. Wyrazem tej akcji było stoisko samborskie na Targach Wschodnich i wystawa: „Len, jedwab, wełna“ w Samborze. Propagandą lnu zajmuje się też miejscowa Średnia Szkoła Zawodowa żeńska im. St. Sobińskiego, która lansuje modę lnianą. Szkoła w połączeniu ze Związkiem Kół Gospodyń Wiejskich urządziła wieczorną lniarską, która stała się rendez-vous szerokich sfer towarzyskich. Reprezentowane licznie tu. ziemiaństwo, przedstawiciele władz i licznie przybyła młodzież, złożyły miłą i ochoczą zabawę, która trwała do godz. 6-ej rano.

Toalety w większości z samodziłał rodzimego, pochodziły przeważnie z pracowni Szkoły Zawodowej. Okazało się, że z samodziłał można skomponować nawet piękną toaletę balową, jak np. balowa toaleta p. Jackowej z samodziłał, przybrana szafirowymi kwiatami. Wszystkie panie ślicznie wyglądały w toaletach z grubego domowego płótna.

Zofja Tyrkówna.



Panie w sukniach z samodziłał lnianego, skomponowanych i mykonanych w Pracowni Średniej Szkoły Zawodowej żeńskiej w Samborze.

KOBIETA I W DOMU



ZA OCEAN.

— Maryś! — A co? — Widzisz! — Widzę... — A dziwujesz się? —
Dziwuję się. — Tak brzmiał dialog Wawrzona z Marysią w sienkiewi-
czowskim „Za chlebem”. Na zdjęciu widzimy nie mazurskie,
ale czeskie dziewczoje, zbliżają-
ce się na pokładzie transatlan-
tyka do brzegów Ameryki.



W ŚWIECIE

KOBIETA BADA MÓZG.

W Instytucie Bachterewa w Leningradzie mikroskopijne badanie preparatów mózgowych przeprowadzają kobiety.

BAKTERJOLOGICZNE BADANIE MLEKA.

Tak odbywa się bakterjologiczne badanie mleka w instytutach gospodarstwa mlecznego w Niemczech. Próbkówki, wykresy, tablice, oto narzędzia zapomożą których ujawnia się szkodliwość mleka poddanego badaniu.

ŚWIATOWA MISTRZYNI PISANIA NA MASZYNI.

Na tegorocznym konkursie stenotypistek w Pałacu wystawowym w Paryżu, pomimo trudnych warunków konkursu, tytuł mistrzyni świata zdobyła panna Pion, francuzka.

KOSZYKARZ I DZIECI.

Nie z pękiem koszyczków i z fujarką, jak nasi górale-koszykarze, ale wygodnym wozem-wagonem, zaprzężonym w parę tęgich kuców odbywa wędrowkę od wsi do wsi, trąbką sygnalizując swoje przybycie, niemiecki koszykarz. „Dla rodziców bogatych w potomstwo, wyjątkowo niskie ceny”, głosi napis na froncie wozu, z obowiązkową swastyką.



GOSPODARSTWO DOMOWE W SZKOŁACH POWSZECHNYCH.

U naszych sąsiadów z Zachodu zrozumiano doniosłość nauki gospodarstwa domowego dla dzieci szkolnych. Oto dziewczynka ze starszego oddziału przygotowuje śniadanie dla młodszych koleżanek. Z wyrazu jej twarzynki widać, że to zajęcie bardzo się jej podoba.



Ogrodnictwo i hodowla

KACZKI ROZPŁODOWE

Kaczki, przeznaczone do rozplodu powinny być w ciągu zimy zupełnie inaczej traktowane, niż te, które mają iść na rzeź. Wielkim błędem hodowlanym jest częste pomijanie tej zasady, czego następstwem jest wielka ilość niezaplodnionych jaj na wiosnę.

Stadko, przeznaczone do rozplodu, powinno być troskliwie dobrane i zestawione już jesienią, aby ptaki miały czas do siebie się przyzwyczaić. Doświadczenie uczy, iż kaczor, sprowadzony zbyt późno, w wyjątkowych tylko wypadkach kaczki zapładnia.

Dobry reproduktor jest w hodowli kaczek rzeczą bardzo ważną, bo swoje właściwości przelewa w silnym stopniu na potomstwo.

Stadko powinno być stale dobrze odżywione, nie za tłuste, na co należy w okresie zimowego żywienia baczną zwracać uwagę. Kaczki, przeznaczone do rozplodu, potrzebują w karmie bardzo wiele białka, gdy go brakuje, nieśność bardzo się zmniejsza.

Dobre rezultaty daje następujące zestawienie karmy: 1 część otrąb; 1/2 części kartofli, 1/2 części mąki kukurydzianej; 1 część zieleniny, plew, okopowych i t. p. 5% mączki mięsnej i 5% grubego piasku. Wszystko to razem należy doskonale zmieszać i zwilżyć wodą.

Dalej, kaczki powinny mieć jak najwięcej ruchu na powietrzu — woda do pływania jest wskazana, ale w okresie zimowym nie niezbędna.

Ilość sztuk w stadku jest zależna od rasy. Przy rasach ciężkich przeznaczają się 3 — 5 kaczek na 1 kaczoza, przy lżejszych 8 — 10.

Wielkim ułatwieniem w hodowli kaczek jest fakt, że można razem trzymać kilka stadek kaczek rozplodowych, gdyż kaczozy nie toczą ze sobą walk, w przeciwieństwie do kogutów.

HORTENSJA

Hydrangea hortensis (Saxifragaceae).

Wprawdzie roślina ta ma w niektórych sferach bardzo złą opinię, jako kwiat, który sprowadza do domu bakcyle niezgody, mimo to posiada bardzo wielu gorących wielbicieli. Jest to roślina bardzo niewymagająca i łatwa w hodowli, co do walorów dekoracyjnych mała która z naszych roślin, może z nią współzawodniczyć.

Hortensja wyrasta w krzak wysokości 1 metra. Liście ma wiel-

kie, jasno zielone, podługowate, spiczaste, po brzegach mocno ząbkowane. Kwiatostany złożone z wielkiej ilości drobnych kwiatów, ułożonych w półkulę.

Rozmnażamy hortensje przez sadzonkowanie. Sadzonki bierzemy wczesną wiosną, lub w sierpniu. Najlepiej t. zn. najszybciej się zakorzeniają w inspekcje, ale można je flancować i w zwykłych miskach, lub doniczkach, byle były przykryte kloszami szklanymi. Sadzonki hortensji wtykamy do bardzo lekkiej ziemi, którą utrzymujemy stale bardzo wilgotno i trzymamy je nienaruszone do końca września. Następnie przesadzamy pojedynczo do doniczek z ziemią kompostową, z domieszką ilościowej, gnojowej i grubziarnistego piasku.

Jedyną trudnością w hodowli hortensji jest to, że potrzebują one niskiej temperatury w ciągu zimy, której w warunkach przeciętnego mieszkania trudno jej dostarczyć.

Najlepiej zimują w temperaturze, która nie spada niżej zera i nie podnosi się wyżej 6° C. Dobrze do tego celu nadaje się jasna i sucha piwnica. Hortensje, zimowane w zbyt wysokiej temperaturze, bardzo wątłeją — opanowują je mszyce i słabo kwitną.

W ciągu zimy hortensje stopniowo tracą liście i pozostają im nagie gałązki. Już od września zmniejszamy podlewanie, a gdy rośliny pozbędą się liści, zaprzestajemy go całkowicie.

W marcu przesadzamy hortensje do większych doniczek, dając ziemię zwięźlejszą i ustawiamy je w miejscu jasnym o temperaturze 12 — 15° C. Początkowo podlewamy mało, stopniowo coraz więcej, gdyż podczas wzrostu hortensje potrzebują bardzo dużo wilgoci i zasuszenie, lub skąpe dostarczanie wody ujemnie odbija się na kwitnieniu. Zakwitną jeszcze w ciągu lata i wydadzą wielkie kwiaty na krzaczkach, których wzrost wynosi około pół metra.

Po przekwitnieniu przycinamy pęd na 6 oczek od dołu, licząc po obu stronach gałązki i wysadzamy je bez doniczek na słoneczną grządkę ogródka, a w jej braku wystawiamy na balkon.

Grzęda pod hortensje powinna być doskonale doprawioną starym, przegniłym nawozem, lub co lepiej kompostem. Do jesieni hortensjom wyrastają krótkie, a grube pędy, z których pozostawiamy 3 — 4 najsilniejsze, a resztę wycinamy. Usuwamy również wszystkie odrostki

korzeniowe, bo te bardzo osłabiają roślinę, a nigdy nie kwitną.

W końcu września hortensje przesadzamy do doniczek i postępujemy, jak poprzednio, t. zn. zimujemy ją „sucho“ i „chłodno“. Hortensje dają się przetrzymywać przez długi szereg lat. Przycinamy je tylko nieco krócej po przekwitnieniu, bo zostawiamy tylko po cztery oczka od dołu, pozwalając na każdej gałązce rozwijać się tylko jednemu, lub dwóm pędom. Wszystkie pędy, wychodzące z korzeni, wcinamy.

DROBIAZGI OGRODNICZE

WPLYW ROSY NA ROŚLINY

Szereg uczonych przeprowadziło badania nad wpływem rosy na rośliny. Na podstawie wielu doświadczeń doszli do przekonania, iż wpływ ten jest wielki i, jak dotąd, prawie zupełnie niedoceniony przez rolników i ogrodników. Rosa bowiem wywiera wpływ zarówno na glebę i jej właściwości jako też i na roślinę bezpośrednio. Rosa dostarcza roślinom wody przez liście. Woda ta jest tem cenniejsza, iż jest absolutnie wolna od wszelkich soli, skutkiem czego oddziałuje na zmniejszenie koncentracji soli, pobranych przez roślinę korzeniami z ziemi, co w niektórych wypadkach, zwłaszcza przy roślinach, żywo reagujących na koncentrację soków, np. gorczyca, owies i t. p. bardzo podnosi plony.

Rosa również dostarcza glebie dużo wilgoci. Ziemia rosę tym więcej chłonie, im jest bardziej pulchna. O tem każdy rolnik i ogrodnik winien pamiętać.

JARMUŻ, JAKO ZIMOWA ROŚLINA OZDOBNA

O zaletach jarmużu pisałam latem. — Teraz jeszcze, chcę wspomnieć kilka słów o użytkowaniu tej rośliny dla zimowej dekoracji mieszkania. Do tego celu roślina ta nadaje się wspaniale i może oddać cenne usługi.

W tym celu zrywa się liście jarmużu późną jesienią, jeszcze przed większymi mrozami i wkłada do wazonów, wypełnionych letnią wodą, którą należy codziennie odmieniać, a liście poddawać silnemu strumieniowi letniej wody, aby splókać szkodliwy dla roślin ciętych zielony nalot.

Bukiet liści jarmużowych, cieszyć nas może pełnią koloru w przeciągu kilku miesięcy. Jarmuż w wodzie wytworzy korzonki, (niby oleander) i wyda wypustki liściowe.

SPOSÓB CHRONIENIA DRZEW OWOCOWYCH OD GAŚNIENIA

Ususzone, zielone, wierzchnie łupiny z orzechów włoskich i liście z tych drzew gotuje się na silny odwar.

Gdy ostygnie, zlewa się z liści i dodaje wapna gaszonego. Następnie rozpuszcza się małą ilość sadzy w ciepłej wodzie, dodaje się żółć wółową i trochę miękkiej siarki. Wszystko to razem miesza się dokładnie z wapnem, rozrobionem odwarem z liści orzechowych.

Jesienią, gdy już drzewa liście potracą, powleka się je grubo tym płynem, smarując nie tylko pień, ale grubsze gałęzie. Płyn ten doskonale przylega do kory i wsiąka w nią. Zabija on wiele zarodków owadzich, a inne zniechęca swoją goryczą do wędrowania po drzewie. W ten sposób, drzewa zostają na następny wiosnę od robactwa zabezpieczone. Smarowanie należy powtarzać co roku.

DRZEWA I ZAJĄCE

Obserwacje dowodzą, że ogryzanie drzew przez zające, nie jest tylko następstwem braku pokarmu, lecz potrzebą odczuwaną przez zające. Wynika to z budowy ich zębów, które muszą ścierać.

Wychodząc z tej zasady, właściciele drzew, obawiający się strat od tych gryzoni, powinni oprócz owijania pni, stosować specjalne maście odstraszające, i t. p. środki i rozkładać, a raczej pozostawiać w sadzie gałązki przycinanych drzew.

Da się to osiągnąć bez umyślnego nakładu pracy, przez wczesne wykonywanie zabiegów przy czyszczeniu drzew i porządkowaniu koron. Gałązki, które obetniemy, pozostawione na miejscu, będą stanowiły dla zajęcy pożądaną materjał do ogryzania. Gałęzie sprzątać należy dopiero z nastaniem cieplejszej pory, gdy gryzonie przestają już sad napastować.

PRZESADZANIE WIĘKSZYCH DRZEW

Przesadzanie większych drzew, to zabieg ryzykowny. Często się zdarza, że duży procent nie może się w nowych warunkach zaaklimatyzować i marnieje. Chcąc tego uniknąć, należy przesadzanie uskutecznić z jaknajwiększą ostrożnością i przenosić drzewa z całą bryłą korzeniową.

Zazwyczaj, przy wyciąganiu z ziemi długie, grube i głęboko wrosnięte korzenie cierpią bardzo długo, nim się do nowych warunków przystosują.

Przycinanie korzeni u drzew starych, jest dla nich bardzo szkodli-

we, przycięte w czasie przenoszenia, potrzebują dużo czasu na zagojenie ran.

Chodzi więc o to, aby przed przeniesieniem drzewa, wytworzyć u niego system drobnych korzonków, które szybko w nowym miejscu rosnać będą.

Aby te korzonki wyrosły, należy na kilka tygodni przed przesadzeniem okopać drzewo w ten sposób, ażeby odkryć grubsze, głęboko w ziemię wrosnięte korzenie, nienaruszając przytem całego systemu korzeni włóknistych. Odkryte grubsze korzenie, trzeba zręcznie przepiłować, osypać wilgotnym piaskiem i z powrotem, dobrze przerobioną i zasiloną ziemią nakryć.

Jeśli niema chłódów, nakrywanie ziemią jest zbędne. Naokoło rany, wyrosnie z korzonka wiele drobnych korzonków, które szybko się będą mogły przystosować do nowych warunków. Gdy ich sporo wyrosnie, przenosimy drzewo, wraz z bryłą do odpowiednio wykopanego dołu.

MATY Z TRZCINY STAWOWEJ

Zagranicą, są w powszechnem użyciu maty, nie ze słomy, ale z trzciny stawowej. Używane tam są, nie tylko jako przykrycie okien inspekcyjnych, nakrywają niemi setki nieraz wczesnych warzyw. Maty te okazały się praktyczniejsze, niż ze słomy, bo znacznie trwalsze i nie tak nasiakające wodą. Robią się bardzo szybko, są lekkie i dają się łatwo zwijać i rozwijać, a z suszeniem ich niema tyle kłopotu, co z matami ze słomy.

Okrywa się niemi obsiane grządki na noc i w razie spodziewanych przymrozków. Dzięki temu prostemu sposobowi, można o dobre trzy tygodnie przyspieszyć plony takich roślin, jak: rzodkiewki, rzepki, fasole, ogórki, kartofle, kukurydza, dynia i t. p. warzywa. Nakrywanie matami pozwala również wysadzać np. ogórki i t. p. już skielkowane. Do wyrobu mat, służy zwykła trzcina stawowa. Wiąże się je lekko i plecie niezbyt grubo.

Dzięki temu, że są one znacznie lżejsze od słomianych, dajemy większe wymiary. Zwykle miewają one do trzech metrów długości i do dwóch szerokości. Maty takie mogą uchronić rośliny przed dużymi nawet przymrozkami, bo dochodzą cemi do 6°C. niżej zera.

Wartoby było, aby nasi ogrodnicy produkowali trzciny, jako materjał na maty. Może to być bardzo pożyteczna inowacja, która pociągnie za sobą minimalne koszty.

Umyślnie poruszam ten temat w tej chwili, gdyż zawczasu należy

sobie porobić zakupy trzciny i przechować ją w suchym miejscu. Maty, bowiem, należy pleść z doskonale wysuszonego materjału.

KWIATY POKOJOWE W GRUDNIU

Zachowywać te same ostrożności, co w listopadzie, t. j. chronić rośliny od zmian temperatury, zbyt suchego powietrza i kurzu. Podlewać ostrożnie, wszystkie schnące, gnijące listki i gałązki należy usuwać.

Normalnie w tym czasie nie należy zasilac żadnymi nawozami, bo to jest okres spoczynku, ale, gdy roślina np. jest w pąkach, wtedy za dodatek nawozów sztucznych jest wdzięczna i wynagradza nas większymi i piękniejszymi kwiatami.

Zaznaczam raz jeszcze, że choć dawki wody trzeba stosować bardzo ostrożnie, to jednak nie należy nigdy dopuszczać do kompletnego wysuszenia bryły korzeniowej. Warunek ten jest konieczny, zwłaszcza u tych roślin, które, jako podłoże mają ziemię wrzosową, lub ściółkową np. azalje, araukarje i t. p.

Gdyby jednak zasuszenie nastąpiło, należy doniczkę aż po brzegi wstawić do miski z letnią wodą i trzymać tam parę godzin, t. zn. dotąd, dopóki ziemia nie nasyci się kompletnie wodą; następuje to wtedy, gdy z doniczki przestaną się wydzielać po przez wodę pęcherzyki powietrza. Z drugiej strony, nadmiar wody w grudniu jest również szkodliwy; często wywołuje gnicie zarówno korzeni, jak i pędów nadziemnych. Trzeba zwrócić również uwagę na to, aby podlewając nie moczyły kłaczy i cebulek.

Kaktusy trzymać sucho — Epiphyllum, kwitnący w zimie (w okresie Bożego Narodzenia) trzymać na słonecznym oknie, nie ruszać i, gdy spostrzeżemy zawiązki pąków, zasilac i zwiększyć dawkę wody.

Hortensje, Kamelje, Azalje, Klimje i Amarylisy, trzymać w możliwie niskiej temperaturze, ale jak najbliżej okna.

SOLE DO CEBULEK W SŁOJACH

Celem przyspieszenia kwitnienia roślin cebulkowych w słojach lub doniczkach, należy rozpuścić na wolnym ogniu w litrze wody deszczowej 150 gr. saletry, 60 gr. soli kuchennej i 30 gr. cukru; wystudzić płyn i używać go w następujący sposób: cebulki kwiatowe, które mają być pędzone w szklanych słojach, napełnionych tylko wodą, lub rośliny, które mają być hodowane w doniczkach, otrzymują codziennie, jako dopełnienie wyparowywanej wody, małą ilość powyższego płynu, bądź przez dopełnienie wody lub przez podlewanie.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

ZEPSUTY OBIAD

Przykry ten tytuł nasuwa odrazu szereg myśli. Zepsuty obiad — a więc pewno pogadanka kulinarna, a może też o służbie domowej, bo któż może popsuć obiad, jak nie kucharka. Pewno będzie chodziło o obiad przypalony czy przesolony. Otóż właśnie, że nie. Nic mnie w tej chwili nie obchodzi, czy zupa miała odpowiednią temperaturę, a mięso czy nie było za twarde. Wprawdzie są to rzeczy niewątpliwie bardzo wielkiej wagi, ale mnie obchodzi w tej chwili zupełnie inna kategoria zjawisk — powiedzmy strona duchowa obiadu, choć może niejednemu wyda się to paradoksem.

Obiad w domu... możnaby dać tyle przykładów, ile jest domów, bo napewno w każdym domu inaczej się odbywa ta codzienna ceremonia. Ja jednak zacznę od przykładów najdrastyczniejszych.

Obiad podany. Pierwszy zjawil się pan domu, który musi się spieszyć z jedzeniem, bo zaraz potem ma konferencję. Pani domu zjawia się wprost z kuchni, gdzie jako gospodyni kontrolowała jakoś potraw i pomagała kucharce w przyrządzeniu rzeczy trudniejszych. Znać jej pracę po rozpalonych od żaru kuchni policzkach, zlekka świecącym nosie i potarganych włosach. Niema jednak czasu na doprowadzenie swego wyglądu do porządku, bo trzeba się spieszyć z obiadem. Dzieci brakuje przy stole. Rozpoczyna się wołanie: — Jasiu, Zosiu, zupa wystygnie. — Dzieci ci się jednak nie spieszą — może mają ciekawą książkę, a może spenetrowały, że na obiad jest krupnik. Pan domu irytuje się i wita dzieci burą — to jest wstęp do obiadu. Pierwsza scena następuje odrazu z powodu krupniku, którego dzieci nie chcą jeść. Jest to zresztą zjawisko towarzyszące stale krupnikowi — nikt w domu coprawda nie lubi tej zupy, ale skasowanie jej w domowym jadłospisie zakrawałoby na rewolucję — nie, to nawet nikomu nie przychodzi do głowy. Wreszcie burza cichnie, pozostają jednak chmury, które nie rozpraszają się do końca obiadu. Pani domu chce okazać mężowi zainteresowanie jego pracą i zapytuje o sprawy biurowe. O, jest o czym mówić. — Nie masz pojęcia co za nieprzyjemne sprawy: ten dureń X... Opowiadanie o nieprzyjemnych sprawach biurowych zajmuje czas całej rodzinie aż do deseru. Przy deserze jest benefis dzieci. Rodzi-

ce dopytują o stopnie szkolne, klasówki i tak dalej. Biedny Jaś w kremie waniljowym czuje wyraźnie gorycz dwójki z niemieckiego, do której musiał się właśnie teraz przyznać, a Zosia wolałaby nawet zrezygnować z owoców, byleby nie zdążyć opowiedzieć teraz właśnie o przepawie, jaką dziś miała na arytmetyce. A w żołądkach wszystkich przetrawia się dobrze ugotowany obiad z nieprzyjemnymi sprawami biurowymi i niepowodzeniami szkolnymi. W oczach męża pozostaje jeszcze długo obraz potarganych włosów i świecących policzków żony, a dzieci znalazłszy się w swoim pokoju, oddychają z ulgą — no, nareszcie ten obiad się skończył.

W innym domu znów inaczej. Godzina czwarta, państwo zasiadają do stołu. Mąż zdążył już pochwalić smakowitość przekąski, żona się wdzięcznie uśmiechnęła, gdy z alarmującym hałasem dzwoni telefon. Pana proszę do telefonu. Jakiś interes, zresztą mało ważny, bo omawianie spraw społecznych czy zawodowych jest dopuszczalne w każdej porze dnia. Pani się irytuje: „Skończ, przecież obiad stygnie“. Pan się irytuje, że się pani irytuje: „Trudno, nie mogłem przerwać“.

Wreszcie koniec. Można już chyba spokojnie jeść zimny befsztyk. Nastrój zaczyna powoli się odprężyć, gdy znowu telefon, niczem skowronek, zaczyna świergolić. Tym razem panią proszą. Dzwoni przyjaciółka:

— Ach moja droga, jestem w kawiarni, przyjdź zaraz taka ważna sprawa. Co, jesz obiad? To wcześniej, my dopiero o szóstej jadamy.

Bo trzeba zauważyć, na usprawiedliwienie telefonujących, że pora obiadowa w Warszawie trwa około siedmiu godzin. Tymczasem mąż się irytuje, żona czyni przy telefonie rozpaczliwe gesty, że to nie jej wina. Rozmowa się przedłuża, zirytowany pan wstaje od stołu, pani robi obrażoną minę, odchodzą od stołu kwaśni, pełni wzajemnych pretensyj. Rezultat — zepsuty obiad.

Ale na koniec wejdźmy jeszcze do innego domu, gdzie na obiedzie jest parę zaproszonych osób. Rozmowa. Jakżeż pan spędził lato?

— Ach, fatalnie. Kuracja nic mi nie pomogła. Ci lekarze to tylko chcą ze skóry obedrzeć człowieka, a pomoc to nic nie pomogą. No a te uzdrowiska, to też kryminał swego rodzaju — wyobraźcie sobie państwo, że...

Tu właśnie szereg utyskiwań na ceny, na jedzenie, na nudy i tak dalej. Wystąpienie zgryźliwego pana staje się hasłem powszechnej jęremjady. Każdy zaczyna opisywać swe dolegliwości, każdy stara się przekonać, że jemu było najgorzej. Odbywa się wielka manifestacja malkotectwa, wzajemnie podniecana. Wszyscy posepnieją. Kiedyż wreszcie można będzie wygodnie żyć, wzdycha ten i ów sobek życiowy. W kwaskowatym nastroju upływa reszta czasu, którego treścią miała być zabawa i wypoczynek. Ale najśłodsze wino nie będzie słodkiem, gdy będą je piły skrzywione usta.

Dosyć przykładów — znajdziemy ich wiele wokół siebie. Obiad jest często jedyną w dniu chwilą zebrania się razem wszystkich domowników. Tymczasem zamiast stać się chwilą radosną i pogodną, staje się często koszmarem. Proszę mi darować porównanie, ale czasem myślę o stole jadalnym, jak o śmietniku, do którego przynosimy wszystko, co mamy najgorszego i najbrzydszego — nasze złe humory, troski i niepowodzenia. Temi troskami zaprawiamy jedzenie, którego potem najlepszy żołądek nie strawi pożytecznie.

W odległej Anglii obiad jest świętem dnia, świętem wymagającym wytwornych wieczorowych sukni. W najskromniejszym pensjonaciku przynoszą każdemu przed wieczorem dzban gorącej wody, aby mógł się odświeżyć do obiadu. Czytałam o pewnym Angliku w kolonjach, który, będąc sam jeden wśród murzyńskiej służby, codziennie do obiadu kładł strój wieczorowy. I angielskiego obiadu nie przerwie żaden telefon, żaden gość nieproszony. Wszystko może się odbyć spokojnie, tak, jak tego wymaga nastrój wieczornej toalety.

W naszych warunkach trudno jest naśladować Anglię — pozostaniemy przy obiedzie w naszych strojach codziennych, przywdziejemy jednak psychicznie odświeżone

 *Śawelna do cęrowania i nici* „**TRZYLILJE**”

szaty. Nasz troski i sprawy zawodowe odrzucimy tak, jak Anglicy strój powszedni, a obiad niech się stanie dla nas odświętną porą dnia... Niech będzie to chwila beztróskiego wypoczynku, chwila pogodnego kontaktu z resztą domowników. Tylko taki obiad przyniesie pożytek naszemu żołądkowi, tylko taki podniesie nasz nastrój duchowy. Od nas wszystkich zależy, aby obiad dobrze przyrządzony nie stał się obiadem zepsutym.

Wanda Iwanka-Prażmowska.

ŚWIĘTA

Nie wiem, czy temat poruszany dzisiaj, nie usposobi Pań Czytelniczek sceptycznie, przywołując im na myśl mickiewiczowskie: „zawczasie, kwiatku zawczasie!”

Ja jestem jednak innego zdania, chociażby dlatego, że „zawczasie” jest w bliskim powinowactwie z pojęciem „w porę”, punktem wyjścia dobrej organizacji, pod której znakiem żyć nam dzisiaj przystoi.

Więc nie zawczasie, prawda?

Miesiąc na *przemysłenie* świątecznych spraw, świątecznych zakupów i planów; miesiąc na opanowanie budżetu; miesiąc na „czynienie cudów”, jak to kobieta umie, i to nie miesiąc wolny od wszelkich innych trosk, zainteresowań, prac i obowiązków, ale przeciwnie wypełniony niemi po brzegi.

Od czego wypada nam zacząć ten okres przedgwiazdkowy? Od *planu*. Musimy wiedzieć, czy zostajemy w domu, czy wyjeżdżamy. Musimy zdecydować się, czy „świętujemy”, czy... spuszczaamy zasłonę.

Jeżeli mieszkamy na wsi, w gościnnym dworze, którego ściany rozstępują się pod promieniowaniem naszych uczuć najserdeczniejszych przybywa nam jeszcze troska zestawienia listy gości, przekorespondowania z nimi tej sprawy właśnie „zawczasu”, aby ostatnia chwila nie pokrzyżowała naszych projektów.

Zarówno w związku z wyjazdem, jak i oczekiwaniem gości u siebie, wyłania się cały szereg spraw większej i mniejszej wagi, które jednak muszą być w porę załatwione. Dom musi być odpowiednio zaprowadzany, pokoje dostatecznie ogrzane (mało który dwór wiejski może sobie dzisiaj pozwolić na luksus używania i opalania w zimie wszystkich pokoi), zresztą wbrew współczesnemu domoznawstwu, wykluczającemu *wielkie porządki*, nie obejdzie się i bez zaciągania podłóg, prania firanek, twórczości świąteczno-dekoracyjnej i t. d. i t. d.

Głębokiej rozwagi i czasu wymaga jeszcze jeden z problemów świątecznych — podarunki. Jeżeli zosta-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wągrzy, przyszcze i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



wimy go na ostatnią chwilę, będzie musiał ucierpieć dotkliwie, bo która z nas może sobie dzisiaj pozwolić na elastyczny budżet podarunkowy? Co innego, jeżeli *czas* umożliwi nam przygotowanie jakiejś ręcznej roboty, podpatrzenie czyichś potrzeb, czy upodobań, zaprowidowanie czyjejś spiżarni (najmilszy z podarunków wsi dla miasta), ułatwi rozwiązanie tego węzła gordyjskiego, jakim jest *gest obdarzania* bez wystarczającego rozmachu budżetowego, nie przez kosztowne, a przez subtelne ujęcie tej sprawy. Na wszystko to trzeba czasu.

Niezależnie od tego, czy będziemy świętowały w domu, czy poza domem, na małą czy większą skalę, musimy mieć mocno zbudowany plan, rozbity na poszczególne odcinki i obsłużyć te właśnie odcinki *w porę*:

sprawy czysto domowe, sprawy apromizacyjne, sprawy toaletowe, towarzyskie, rozrywkowe.

Utarło się wprawdzie twierdzenie, słuszne poniekąd, że najrozkoszniej układają się projekty nieprzewidziane i „nie obstawione” z góry.

Ale czyż można na *wolę losu* zdać *plany świąteczne*, tam gdzie chodzi o dobre wykorzystanie 4 dni wypoczynku, o stworzenie świątecznego nastroju w domu rodzinnym, o zabezpieczenie: spokoju, wygód, przyjemności to dogodzenie podniebieniu wszystkich domowników, o uzgodnienie ich pragnień, planów i poczynań.

Pięknie wyglądałaby taka pani domu i jej *świąteczny nastrój*, gdyby chciała flirtować z losem w okresie świątecznym, powierzając mu wszystkie swoje troski i zainteresowania!

To też lepiej nie próbować, a zwołać zebranie rodzinne, uzgodnić na niem plany świąteczne, wejść w dobre porozumienie z ołówkiem,

przeliczając plany na: czas i pieniądze!

Więc przede wszystkim zakupy. Ta najzdradliwsza zasadzka świąteczna o rozciągliwości gutaperki, ta beczka Danaid bez dna, przepastna i zachłanna.

Nie obejdzie się na tym odcinku bez szeregu nowel uzupełniających ustawę, inaczej bez ograniczeń wprowadzanych do świątecznego regulaminu ze smętnej konieczności.

Na pierwszy ogień musi pójść zgrupowanie (na piśmie) potrzeb, a właściwie zamierzeń świątecznych. Z nich dopiero zaczniemy skreślać, skreślać, skreślać! aż linja pomiędzy tem, *cobyśmy chcieli*, a na co sobie właściwie *pozwolic możemy*, stanie się wyraźna i silnie ufortyfikowana.

Kobiety zrobią to jednym zamachem ołówka bez zbędnych rozczuleń i wyrzekań, a rozpieszczone przez los i otoczenie *kobiecej* uronią może niejedną łzę gorzkiego rozżalenia, co nie przeszkadza, że i jedne i drugie muszą podporządkować się konieczności i nie stwarzać sobie gehenny pokrywania niedoborów spowodowanych świętami, przez szereg poświęceń tygodni.

Rozwagi, rozwagi i jeszcze raz rozwagi!

Jeżeli niema na indyka, niechże go lepiej nie będzie, niż gdyby miał wchłonąć w siebie spokojny, unormowany dosyt dnia powszedniego.

Ten świąteczny rozmach kulinarny jest doprawdy groźny. Wyrządza rok rocznie wielu gospodarstwom domowym niepowetowaną krzywdę, naraża je na wstrząsy i niedobory. To też czas z nim skończyć, wszystkie zamierzenia świąteczne przesiać przez gęste sito rozsądku, nie składać zbędnych ofiar na ołtarzu pozoru, bo podniebienie pogodzi się łatwo z jadłospisem dalekim od rozrzutności.

Zresztą jeżeli zmontujemy masywną świąteczną zawczasu, z ołówkiem w rękę, starczy napewno na „wszystkie kółka”, które w nastroju zdenerwowania i pośpiechu ostatniej chwili będą musiały paść ofiarą chaosu!

Wanda Dobrzańska.

Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelnich i t. d.

Przepisy gospodarskie

BARANINA

Pieczeń barania marynowana. Cwiartkę młodej, mięsistej baraniny zamarynować, zalewając lekkim octem przegotowanym z włoszczyzną, cebulą, paroma ziarnami pieprzu, ziela angielskiego i listkiem bobkowym. Ocet wystudzić przed zalaniem mięsa. Trzymać baraninę w marynacie 3 dni, obracając cwiartkę dwa razy dziennie, aby się równo marynowała. Jeżeli chcemy mieć pieczeń szpikowaną, trzeba ją naszpikować przed zamarynowaniem wąsko krajanymi paskami słoniny.

Po wyjęciu z octu i osączeniu posolić. Piec na obfitem maśle, polewając często sosem, jaki się wytworzy. Na 10 minut przed wydaniem oprószyć pieczeń mąką, podlać szklanką śmietany. Podawać pokrajaną w plastry, które układa się na kości, formując w ten sposób całą cwiartkę. Oblać sosem przez sitko. Do pieczeni baraniej podać oddzielnie buraczki, albo duszoną czerwoną kapustę i purée z kartofli.

Szaszłyki baranie. Wyluzować mięso z combra baraniego, albo z kotletówki. Przygotować małe medalionki na palec grube. Na pół godziny przed smażeniem posolić, oprószyć białym pieprzem. Ukrajać tyle cienkich plasterków słoniny, ile mamy medalionków baranich. Nadziewać medalionki na grube wykałaczki, albo specjalne rożenki metalowe, dając: kawałek mięsa, kawałek słoniny i t. d. Takich porcyjek powinno się przygotować conajmniej tyle, ile osób zasiada do stołu.

Pół kilograma najpiękniejszego ryżu szlifowanego wypłókać w kilku wodach, osączyć na sicie, obgotować w obfitej wodzie (gotować 2 minuty od zawrzenia), wylać ryż na sito, przelać zimną wodą. Przygotować w rondlu następującą zaprawę: dużą cebulę cukrową posiekać drobniutko, uduścić z 5 dkg. masła, podlać tłustym rosołem, dając go tyle, aby objął ryż najwyżej do połowy, dodać łyżkę buljonu, zagotować. We wrzącej zaprawie wrzucić ryż, zagotować, przykryć szczelnie, wstawić na górną kondygnację piecyka, żeby się od spodu nie wypiekł. Po upływie pół godziny można w razie potrzeby skropić jeszcze ryż rosołem, co robimy wówczas jeżeli okaże się zupełnie suchy, a jeszcze twardy. Do gotowego ryżu dodać parę łyżek konserwy pomidorowej, posolić do smaku, wymieszać, wstawić, już nie przykrywając do pieca, aby nadmierna wilgoć (po dodaniu konserwy) wyparowała, a ryż rozsypywał się na poszczególne ziarna. Bardzo gorący ryż wyłożyć na okrągły półmisek, uformować stos, ułożyć na nim szaszłyki na szpadkach spadzisto w formie gwiazdy.

Szaszłyki smaży się na bardzo gorącym maśle i na ostrym ogniu. Powinny się pięknie zrumienić z wierzchu, a pozostać krwawe i soczyste wewnątrz.

Potrąka z pozostałej pieczeni baraniej, t zw. „Drypcik”. Pozostałą pieczeń bara-

nią zdjąć z kości, pokrajać mięso w kostkę, włożyć w sos, raz zagotować, trzymać 10 minut w ciepłe, żeby mięso się rozgrzało i przeszło smakiem sosu. Sos przygotowuje się w następujący sposób:

Łyżkę masła przesmażyć z łyżką mąki (nie rumieniać), rozprowadzić rosołem, albo buljonem, zagotować mieszając. Doprawić sos sokiem cytrynowym, solą, cukrem, zakolorować karmelem, wkroić jedno jabłko winkowate podzielone na niewielką kosteczkę, zagotować, włożyć mięso, trzymać w gorącu, ale już nie gotować. W ten sposób jabłko zmięknie, ale się nie rozgotuje na marmoladę. Oddzielnie podać kartofle tłuczone, kraszone słoniną.

Pilaw barani. Wymyć czysto mostek barani, sparzyć wrzącą wodą, osączyć. Podzielić na zręczne niewielkie kawałki. Parę cebul cukrowych sparzyć, poszatkować drobno, uduścić w maśle, podlać paroma łyżkami bardzo mocnego rosolu, albo rosołem z dodatkiem buljonu.

Wymyć dowolną ilość ryżu, raz zagotować w obfitej wodzie, przelać zimną wodą, osączyć. Wlać na dno rondla dwie łyżki rosolu z duszoną w maśle cebulą, położyć kawałek masła, na to dać warstwę ryżu, warstwę mostka baraniego, znów trochę poprzednio przygotowanej zaprawy, kawałek masła, ryż, mięso i t. d. Wypełniając rondel, pamiętajmy o tem, aby ryż wypadł na wierzchu. Rondla nie trzeba wypełniać po brzegi, bo ryż w duszeniu pecznieje. Tak przygotowany pilaw, przykryć szczelnie pokrywą, wstawić do gorącego pieca. Trzymać 2 godziny. Najlepiej przyrządzać w ozdobnej rynce ogniotrwałej i razem z nią wydawać na stół, nie przekładając. Pilaw jest potrawą tłustą, a zatem powinien być podawany bardzo gorący.

Baranina duszona z włoską kapustą. Ugotować mostek barani na smaku z włoszczyzny i cebuli z dodatkiem paru ziarn pieprzu, ziela angielskiego, listka bobkowego. Mięso na pół ugotowane wyjąć ze smaku, pokrajać w paski na dwa palce szerokie, wyjąć żeberka.

Dowolną ilość główek włoskiej kapusty oczyścić z uszkodzonych wierzchnich liści, podzielić na ćwiartki, sparzyć wrzącą wodą. Rondel ogniotrwały wyłożyć plasterkami słoniny, dać warstwę kapusty, warstwę mięsa baraniego, znów kapustę, mięso i t. d. Podlać rosołem baranym, przykryć, wstawić do gorącego pieca. Dusić godzinę. Na wydaniu zaprawić sos masłem przesmażonym z mąką, albo słoniną przetopioną i przesmażoną z mąką. Raz zagotować, wydawać w tem samym naczyniu, w którym się kapusta dusiła. Kto lubi kapustę na słodko może, przed wstawieniem do pieca, nietylko posolić, ale i lekko ocukrować kapustę.

Kotleciki baranie z sosem soubise i kaszką na sypko. Zdjąć mięso z łopatki baraniej, wyżyłować, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę. Na każde pół kilograma mięsa bez kości, wziąć: jedną czerstwą bułkę otartą ze skórki, pół łyżki masła, jedno jajko. Bułkę namoczyć w mleku, odcisnąć, rozcierać na donicy wałkiem drewnianym,

dodając masło i jajko. Gdy się uformuje gładka, pulchna masa, dodać mielone mięso, doskonale wyrobić rękami, jak ciasto drożdżowe, posolić do smaku. Formować okrągłe kotleciki jednakowej wielkości i kształtu, skrzyżać w osianej tartej bułeczce, smażyć kładąc na rozgrzane, ale nie rumiane, masło. Zrumienić lekko z obydwóch stron, przykryć tak, aby pokrywa nie dotykała kotletów, bo pod przykryciem narosną, wsunąć na 15 minut do pieca, albo trzymać na zakrytej fajercie.

Wydawać, formując z kotlecików wieńiec dokoła krakowskiej kaszki, ugotowanej na sypko i wyłożonej na okrągły półmisek. Oddzielnie podać w sosjerce sos biały cebulowy „soubise”.

Kaszka krakowska na sypko. 1/4 kg. drobnej kaszki krakowskiej zatrzeć jednym całem surowym jajkiem. Postawić w ciepłe, żeby dobrze przeschła, wysuszoną rozkruszyć na poszczególne ziarna, przecierając rękami, a wreszcie osiać przez durszlak.

Wlać wody na dno rondla, włożyć łyżkę masła. Na wrzącą wodę wsypać osianą kaszkę, raz zagotować, mieszając, przykryć, wstawić na godzinę do dobrze ciepłego pieca. Przed wydaniem na stół rozkruszyć widelcem, dodać siekanej zieleninki i osolić do smaku. Nie solić w gotowaniu, bo nabierze czerwonego koloru.

Chcąc, aby kaszka była prawdziwie sypka, trzeba uważać na ilość wody: powinno jej być tak niewiele, żeby kaszka w czasie zagotowywania całkowicie wodą wchłonęła. W czasie trzymania kaszki w piecu, można ją jeszcze lekko skropić wodą, gdyby się okazała zbyt sucha, ale nigdy nie dawać od razu dużo wody, bo się rozklei, zamiast ugotować na sypko.

Gołąbki z baraniną i ryżem. Obrąć mięso z łopatki baraniej, przepuścić przez maszynkę od mięsa. Na 1 kg. mięsa bez kości wziąć 15 dkg. ryżu zblanżowanego (obgotowany i przelany zimną wodą), 1 jajko i 1 żółtko, jedna cebula drobno poszatkowana duszona w maśle, soli i pieprzu do smaku.

Luźne głowy kapusty zalać wodą, obgotować tak, żeby liście trochę zwiótzały, rozebrać na poszczególne liście, wycinając grube żyłki. Mielone mięso wymieszać z ryżem, dodać cebulę duszoną w maśle, jajka, soli i pieprzu do smaku, wymieszać. Smarować farszem rozplaszczony liście, związać ściśło, układać w rondlu, wyłożonym plasterkami słoniny. Gdy już wszystkie gotowe, podlać rosołem baranym, lekko osolić, wsypać łyżeczkę cukru, dusić pod przykryciem, na wolnym ogniu, około dwóch godzin. Na wydaniu zaprawić sos łyżką mąki, przesmażoną z dwoma łyżkami słoniny bez skwarek. Zagotować, wydawać bardzo gorącą. Można też wydusić kapustę do czystego tłuszczu (dusić pod koniec bez przykrycia), a na chwilę przed wydaniem posypać suto tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanym, wsunąć do dobrze gorącego pieca, zrumienić.

Melba.

Od 1.XII.34 = 1.I.35 r.

Dwutygodnik „JA TO ZROBIĘ“

urządza w lokalu własnym ul. Świętokrzyska 17 m. 5

„WYSTAWĘ = KIERMASZ“

p. t.

„JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ“

Celem wystawy będzie w jej części pierwszej pokazanie najnowszych, polskich surowców — materiałów w dziedzinie tkanin, nici, włóczek, metali, skóry, pergaminów na abażury, rafji, drzewa, paciorków i wszelkich pomocy technicznych, oraz szeregu artystycznych przedmiotów wykonanych z wyżej wymienionych surowców.

Część druga wystawy obejmie bogaty dział wszelkich najmodniejszych robót ręcznych, przeznaczonych do sprzedaży gwiazdkowej.

Wszystkie Panie, interesujące się rękodzielnictwem, prosimy o zapamiętanie daty trwania naszej

„WYSTAWY = KIERMASZU“

od 1 grudnia 1934 r. do 1 stycznia 1935 r.

dla prenumeratorek pisma „Ja to zrobię“ wejście bezpłatne.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Olesi M. Bardzo dziękuję za uznanie, nadesłane przez Panią i jestem bardzo zadowolona, że ząbki Jej, już po tygodniowym stosowaniu *Albolu* stały się śnieżnobiałe i swoim wyglądem sprawiają Pani prawdziwą przyjemność. Co się tyczy pomadek do ust, to wszystkie się zmywają. Najtrwalsze są róże w płynie, a najlepszym z nich będzie *Roseina*. Radzę Pani użyć *Roseinę* w kolorze ciemnym lub karminowym. *Roseina* jest trwała i na wargach utrzymuje się przez kilka godzin, przyczem przy jedzeniu i picciu nie zmywa się.

Szatynce. Brwi najlepiej i trwale przyciemni Pani *Hennoliną do brwi*, która się nie zmywa i wystarcza na kilka tygodni. Co się tyczy łupieżu, to lepszego środka nad *Tetral* niema. Wystarczy 3 — 4 razy

natrzeć skórę głowy watą lub gąbką umoczoną w *Tetralu*, a łupież zginie i włosy przestaną wychodzić.

Pani Zycie w K. Radzę Pani nie zmieniać *Kremu Abaridowego* na inny, szczególnie, że jak Pani zaznaczyła w swoim miłym liściku, jest Pani dotąd ze stosowania *Abaridu* b. zadowolona. To, że na miejscu Pani nie może go nabyć, to drobiazg, gdyż perfumierja „Perfection“ Marszałkowska 109, wyśle Pani nawet najmniejszą ilość. Aby jeszcze zwiększyć działanie *Kremu Abarid*, koniecznie radzę mycie na noc twarzy *Otrąbkami Abaridowymi* i dopiero potem wetrzeć cokolwiek *Kremu Abaridowego* i przypudrować tymże pudrem. Jestem przekonana, że nie tylko nie będą się tworzyć nowe zmarszczki, ale i już istniejące, potrochu wygładzą się i znikną, gdyż

MEBLE gwarantować może tylko
własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinet 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

Najprawdziwszy obraz życia
daje książka

„Za białą ścianą“

J Korczakowskiej

Cena 1 Zł. 20 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“
Solec 87, i Świętokrzyska 17 m. 3
oraz we wszystkich księgarniach.

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki
Chirurg - Plastyk
OPERACJE KOSMETYCZNE
Warszawa, Żłota 3.



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

Krem Abarid, przygotowany na wyciągu z cebulek lilji białej i miodzie, odżywia i popelnia tkankę. Rano najlepiej twarzy nie myć, a wytrzeć watą, zwilżoną *plynnym Goldcremem Abaridowym*, lub *Wschodnim plynem Mimosa*, który ma własności wybielające cerę i usuwa wszelkie pryszcze i plamy.

P. Zofji L. Krem Pralatów można z doskonałym skutkiem używać i pod puder, gdyż wciera się do sucha. Do rąk jednak jest niezastąpiony, gdyż nawet najwięcej zniszczone ręce, doprowadza szybko do porządku, nadając im delikatność i miękkość. O ile idzie specjalnie o wybielenie rąk, to po wtarcu *Kremu Pralatów* na noc, proszę grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida*.

M-me Ercèdes.

TOW. WYDAW. „BLUSZCZ”
zawiadamia o nowej książeczce bibliot.

„Ja to zrobię”

p. t.

„H A F T Y

W E Ł N A ”

Jest to zbiór najciekawszych ściągów włóczkami na suknie, organdy nie i kanwie. Wielki arkusz wzorów z rysunkami w naturalnej wielkości wszystkich modeli zamieszczonych w książce.

Opracowanie Heleny Gawrońskiej

Cena 1 zł. 50 gr. z przes. 1 zł. 80 gr.

Same zrobimy zabawki przy pomocy następujących książeczek, ozdobnie wydanych, zawierających wzory zabawek

Ozdoby choinkowe	Zł. 1.00
Własnej roboty naj- milsze zabawki	„ 1.00
Ruchome figurki własnej roboty	„ 1.00
Zabawki choinkowe	„ 0,80
Zabawki z pudełek	„ 1.00
Domowy warsztat młodzieży	„ 1.50

Wszystkie te książeczki nabyć można w Tow. Wydaw. „B L U S Z C Z” Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich księgarniach i kioskach „Ruchu”. Konto P. K. O. 12.200.

Każda z pań zrobi dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych podręczników

SZYDEŁKIE

i na

DRUTACH

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia:

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich kioskach „Ruchu” i księgarn.

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.